

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 18 września 1949 r.

Nr 38 (217)

W NUMERZE

T. ORLEWICZ — Handlarze i spółdzielnie
W. WROŃSKI — Nauczyciel w walce o pokój
J. LONDON — Ludzie otchłani

W. SZUMSKI — Marian Buczek
J. POGAN — Chłopi, robotnicy, dwór
J. LONDON — Ludzie otchłani

MAKSYM TANK

POETA MÓWI

z poematu „Dziennik pokoju”

W niedającym się ugasić gwie
[zdobiorze]

świeci jak gwiazda
wśród republik radzieckich
mój młody kraj.
Leży on na brzegach
Dniepru i Dżwiny,
tam gdzie słychać szum
białowiejskiej sosny,
gdzie bezkresne są przestrzenie
łak i lasów,
gdzie na polach
nie ustaje huk traktorów,
gdzie dymy sokoła
mają wysoki lot
gdzie żyje pracowity
i odważny lud,
gdzie wiatry
szumią partyzancką sławą,
gdzie Kupały i Kolasa
pieśni dźwięczą.

... W naszym kraju
można jeszcze zobaczyć ruiny.
Są to ślady złych czasów,
resztki wojny.
Lecz wstają miasta
z ognia i biedy,
i szumią
na dawnych zgłiszczach sady.
kwitnie kok-sagyz.
Wyrasta ożmina,
My drogi układamy
naprzód
do komunizmu.

... Bracia!
wszyscy, którym drogie są
pokój i zgoda,
przysiężcie wolnych narodów,
świtającą nad ziemią
i wiosną,
która dzwoni nad swobodą pól,
która szumi młodymi pedami

[drzew,

i wesola młodzież,
i szczęście dzieci,
i w ciszy nocnej
nucenie kołysanki —
my, obrońcy prawdy,
podajemy wam dłoń, my,
żołnierze Stalingradu,
podajemy wam dłoń,
my, ludzie radzieccy,
podajemy wam dłoń,
I nikt nigdy,
ani mieczem, ani ogniem
nie uścisną naszych dłoni
nie rozerwie.
Witamy
wschód słońca pokoju.
Niechże wiedzą
przeciwnicy pokoju,
że nie uda się im
zaciąć naszego słońca
swoim tumanem.
Ten, kto przysięgał pragnie
naszą przysiężną znaleźć,
kto do prawdy dąży,
naszą prawdę spostrzeże,
ten kto pieśni pragnie
naszą pieśń odnajdzie.
A kto wiatr posieje
burzę będzie zbierał.

Głos pokoju
nad światem
w dzień i w nocy
krusząc przegrody
zwykłego dźwięczy!
Nie zatrzymają go
posterunki graniczne.
Przez druty kolczaste i rowy
przebiega się on.
Nie powstrzymają go
ani góry,
ani rzeki
ani lufy miotaczy min
ani chłód bagnetu.
Niczym fala przypływu
przebiega się
nabrzeża Nowego Jorku
na doki i forty.
Nad Chinami
plonie światem swobody,
nad Europą
w czerwonych sztandarach szumi.

Więc dźwięcz nad ziemią
co raz to silniej,
coraz dobitniej
głosie pokoju.
wzwołaniem milicjów ludzi!

tłum. E. Martuszewski

JAN ALEKSANDER KRÓL

ŚWIADOMOŚĆ USTROJU

(PO PLENUM SIERPNIOWYM ZARZĄDU GŁÓWNEGO Z. S. Ch.)

III Kongres Związku Samopomo-
cy Chłopskiej, który odbył się w
marcu bieżącego roku, rzucił hasło
organizacyjne o znaczeniu przeło-
mowym dla rozwoju Polski na dro-
dze do socjalizmu, przełomowe dla
stosunków społeczno-gospodarczych
wsi polskiej.

„Decydujemy się przesunąć
punkt ciężkości naszej pracy na
Kółko Gromadzie ZSCH!” W skró-
cie: *Stawiamy na gromadzie!*

Kongres ZSCH dał w ten sposób
odpowiedź na sierpniowe Plenum
PPR-u i Kongres Zjednoczenia par-
tii robotniczych z ub. roku.

Przypomnijmy wytyczne nasze-
go ustroju gospodarczego i społecz-
nego, które sformułował przed ro-
kiem min. Minc.

„Elementy w założeniu swym so-
cjalistyczne naszej gospodarki zaj-
mują dominujące położenie w
przemśle, komunikacji, finansach,
stanowią już czynnik decydujący
w handlu hurtowym, znajdują się
w stałym wzroście na odcinku han-
dlu detalicznego, na odcinku bu-
downictwa, oraz zajmują poważne,
aczkolwiek w małym jeszcze stop-
niu produkcyjne wyzyskane, pozy-
cje na odcinku produkcji rolnej...”

Trzeba stwierdzić, że ten stan
posiadania elementów w założeniu
swym socjalistycznych w naszej
gospodarce został osiągnięty w dro-
dze systematycznej walki z ele-
mentami kapitalistycznymi, w dro-
dze ich okiełznania, na niektórych
odcinkach ich ograniczenia, a gdzie
niegdzie ich wyparcia...

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że
rządy Demokracji Ludowej mogą
przy systemie Demokracji Ludowej
i bez marszu naprzód ku nowym
formom ustrojowym jedynie ograni-
czać i hamować kapitalistyczny
rozwoj wsi, nie potrafia jednak za-
trzymać go zupełnie, bowiem „go-
spodarstwo indywidualne rodzi ka-
pitalizm i burżuazję stale, codzien-
nie, co chwila, żywotowo i w skali
masowej...”

Jasne jest przecież dla każdego,
że proces kapitalistycznego rozwo-
ju w osłabionym tempie trwa i te-
raz, że i teraz większość wsi jest
eksploatowana przez wiejskiego ka-
pitalistę, przez zatrudnienie siły
najemnej, przez system odróbek,
przez lichwe zbożową i pieniężną
itd.

Znaczenie odpowiedzi, jaką dał
III Kongres ZSCH, na wytyczne
sierpniowe, polega nie tylko na
solidaryzowaniu się z nimi, tzn. na
uznaniu konieczności dalszej walki
z odradzającym się kapitalizmem
na wsi i na uznaniu konieczności
prowadzenia tej walki „naprzód ku
nowym formom ustrojowym”.
Przełomowe znaczenie Kongresu
polega przede wszystkim na stwier-
dzeniu społecznej możliwości reali-
zowania wytycznych.

Taki sens ma hasło: *Stawiamy na gromadzie!*

Gromada to ostatnie, podstawo-
we ogniwo terytorialnego i społecz-
nego życia chłopów. Gromad (wsi)
mamy w Polsce 44 tysiące. Wyty-
czne mówią o konieczności wyzys-
kania przez elementy w założeniu
swym socjalistyczne w niepomier-
nie większym stopniu pozycji pro-
dukcyjnych w rolnictwie. Daje o
tym wyobrażenie Plan 6-letni:
zwiększenie produkcji rolnej pra-
wie o 50%. Mówiły wytyczne o za-
ostrzeniu na wsi walki klasowej z
wyszymi kapitalistami wiejskimi,
o ich ograniczaniu, wypieraniu z
życia gospodarczego i społecznego
biedniaków i średniaków na wsi.
Mówiły o marszu naprzód ku no-
wym formom uposażeniom. Kon-
gres odpowiedział: *stawiamy na gromadzie!* Oznajmił zatem, że wy-
tyczne konkretyzują i doprowadzają
do stanu powszechnej świadomo-
ści procesy, które się przez pięć
lat Polski Ludowej toczyły i wzma-
gały na wsi. Procesy walki klaso-
wej, wyzysku gospodarczego i uci-
sku społecznego ze strony kapita-
listów wiejskich, siania wstecznic-
stwa, zamacania wiary w nowy us-
trój i wiedzy o nim z jednej stro-
ny; z drugiej — zdobywanie krok
po kroku pozycji gospodarczych i
społecznych przez wyzyskiwanych
biedniaków i przekonywanych, o-
trząsających się z wahań i złudzeń
na kapitalistyczny dorobek śred-
niaków, pozycji uzurpujących i
spychających na margines życia wsi
kułaków, ich zauszników i protek-
torów.

Kongresowe hasło — *stawiamy na gromadzie* — wyrażało pewność,
że w 44 tysiącach wsi polskich, że w
każdej gromadzie narosły siły do
walki klasowej, że prą one w toku
produkcji, w toku jej wymiany
w obrocie towarowym do dalszych
przemian gospodarczo — społecznych,
że rośnie nowa wiedza i nowa świad-
omość społeczna i wieś przez swe
podstawowe masy chłopiekie wra-
sta w nowy ustrój, chwytając jego
przesłanki i wytyczne, dostrzegając
nimi w rozumieniu lokalnej i świa-
tolektnej walki codziennej i codzien-
nej przebudowy więzi gromadziekiej.

Też Kongres potwierdził naj-
bliższe miesiące. Sierpniowe Plenum
Głównego Zarządu Z. S. Ch. stanęło
przed pierwszym doświadczeniem
hasła: *stawiamy na gromadzie!*

Ustrój który się „rozgrywa” na
gromadzie i tam jest już w toku
walki i rozbudowy staje się w naj-
pełniejszym tego słowa znaczeniu
ustrojem narodu.

Trzeba ten przełomowy moment
porównać z również historycznym
dla wsi polskiej przełomem, jaki do-
konywał się w ostatnim dziesię-
cioleciu XIX w.

Wówczas było to scalanie się wsi
z ustrojem kapitalistycznym.

Uplętno prawie pół wieku od
zniesienia pańszczyzny w Galicji,
upłynęło ponad 30 lat w Kongre-
sowej. Mechanizm drobno — towa-
rowej produkcji i wymiany, mecha-
nizm kapitalistycznego ustroju, acz
o cechach kapitalizmu nieodrozni-
wionego, zdający kraj z zewnątrz na
inwazję ekonomiczną, na los półko-
lonii, od wewnątrz przedurzący
feudalne relikty dworów i folwar-
ków, ten mechanizm pod koniec w
XIX działał już na gromadzie w ka-
żdym szczególe życia jednostkowego
i zbiorowego.

Tworzył już powszechnie schemat
myślenia chłopca, stawał się jego
„naturą”, obrazem życia, pomyś-
lonym na pozycji kułackiej lub gdy
doprowadzał do tej pozycji, pęta-
ł zaś i mamił dla mas chłop-
skich, wyważanych z małych gos-
podarstw, gnanych za ocean nadzieją
pracy i zaoszczędzenia, a za powro-
tem nadzieją stabilnego usytuowa-
nia się w rodzinnej wsi na najniż-
szym szczeblu drabiny kapitalisty-
cznego posiadania.

Ustrój, który wtarł się i jest już
na gromadzie, osiągał tu równole-
głe swój wykładnik ideologiczny,
żyje w świadomości społecznej. Ma-
my tych dokumentów świadomości
my tych dokumentów świadomości
ustroju kapitalistycznego na wsi —
ustroju przy pomocy te —
nie mało. Chcemy przypomnieć te —
najwcześniejsze, pierwszej fazy, do
której, aby wieś dojrzała, trzeba by-
ło jednak kilkudziesięciu lat. Słom-
ka, urodzony w ostatnich latach
pańszczyzny, trafił bardzo w
swych Pamiętnikach określa sens
przemian, wąsko ale trafnie. Oto
nastąpiła — *hipoteka*. „Odtąd dopie-
ro stało się jasną dla każdego rze-
cza, że to co posiada (parcele) jest
świętą jego własnością”. Słomka
wywodził się z kłmiciów, miał ma-
jątek, któremu hipoteka nadawała
klasowe znaczenie „świętej wlas-
ności”. Inny pamiętnikarz tych cza-
sów, Magryś, pochodził z rodziny
komorniczej, wydzwignął się jednak
na pozycję bogatego gospodarza.
Drogo utorował mu warsztat tkac-
ki matki w tym prześladowanym
okresie, kiedy to kurczył się już in-
dywidualny wyrób odzieży na wsi
a produkcja fabryczna nie wzrosła
dostatecznie i nie przebiła sobie
jeszcze sieci kanałów zbytu na chłop-
ską prowincję.

Magryś pozostawił złudne wska-
zania dla mas chłopiekich o podob-
nie biedniackim starcie życiowym,
jak jego. „Cała tajemnica naszego
powodzenia leżała w tym, żeśmy do-
brze znali swoje rzemiosło, praco-
waliśmy od rana do nocy i nie pi-
liśmy wódki”.

Słomka wyrażał ten sam opty-
mizm. „Teraz pierwszy lepszy chłop
jest swobodny i może żyć jak daw-
niej szlachcic”.

Bojko pisał w „Dwóch duszach” —
„A ciebie chłopie, jak podatek i
procenta a kapitał regularnie pla-
cisz, jak rekruta a powinności od-
robisz... — toś pan całą gębą i jed-
ną tylko śmierć z domu wypę-
dzić może a zresztą nikt. Słyszysz?
Nikt nawet sędzia, nawet biskup,
nawet minister, nawet król... ale po-
wiedz mi czy ty masz odwagę cy-
wilną do twojego dzisiejszego pań-
stwa i przy tem prawie, jakie ci
przysłuży...”

To, co mówił Słomka, Magryś i
Bojko wyrażało świadomość kułac-
kiej części wsi, jej zgodę na nowy

ustroj. Bo wolności demokracji bur-
żuazyjnej mogły być przywilejem
tylko kapitalistów wiejskich za cenę
pozbawienia w nich udziału mas
chłopskich, w walce z tymi masami.
Te perspektywy „chłopa swobodnego
teraz jak dawniej szlachcica”,
„pana całą gębą” to była zdobycz
kułaków w pierwszej fazie kapita-
lizmu na wsi. Ich umocnienie kla-
sowe, ich wygrana, przez nich do-
konane ujarznienie wsi, podpo-
rządkowanie swemu autorytetowi,
swym manipulacjom gospodarczym
i politycznym. I najstraszliwsze:
zasugerowanie masom kułackiej
perspektywy klasowej, jako wzoru
życiowego, w którym rzekomo rea-
lizuje się godność i wolność czło-
wieka. Przez dziesięć lat miały
masy biedniackie wypróbować bez-
skutecznie ten katechizm, przez
dziesiątki lat w milionowych roz-
czarowaniach gromadziekiej historycz-
nej i klasowej wiedzy o kłamstwie i
podłości tego katechizmu.

Trzeci Kongres Z. S. Ch. mógł już
po 4-ach latach rządów robotniczo-
chłopskich wysunąć hasło — *stawia-
my na gromadzie!* Bo już jest w niej
świadomość społeczna nowego ustro-
ju nie mniej żywa i nie mniej silna,
jak tamta, która przed pół wiekiem
kierowała wiejskim życiem gos-
podarczym i politycznym. Można by
się dziwić tak szybkiemu wzrostowi
tej nowej świadomości. Ale kiedy
sobie uprzytomnimy, że wyraża
ona eksplozję strasliwie długo
nagromadzonego doświadczenia mas
chłopskich, kiedy sobie uprzytomni-
my, że nasza rewolucja i władza lud-
owa dały wsi nowe doświadczenia
to jasne jest, że tempo tej świad-
omości narasta proporcjonalnie do
zasięgu klasowego, na rzecz którego
działa nowy ustrój. Po kilkudziesię-
ciu latach od zniesienia pańszczy-
zny kapitalizm spełniał masy chłop-
skie na dobre i świadomości kapita-
listyczna jaka wyrosła i dojrzała w
nich była już świadomością wiejską,
świadomością przykutej do kajdan.
Świadomość „pana całą gębą”, wy-
rosła tylko w szczytach wiejskiej
arystokracji.

Teraz sytuacja się odwróciła.
Świadomości nowego ustroju to zdo-
bycz i narzędzie walki mas chłop-
skich. One przyspieszają jego roz-
wój we własnym interesie klaso-
wym na gromadzie. Przyciągają go
od centrów, i konkretyzują u sie-
bie, w terenie. Nowe doświadczenia
ukazują masom chłopiekim poza wsią
przesłanki wymienione z kapitali-
stycznej organizacji produkcji i sto-
sunków społecznych. Ukazują pla-
nową, uposażoną produkcję, wy-
mianę i kredytowanie. Ukazują war-
tość tej przemiany, ubezpieczenie
mas chłopiekich przez klasę robotni-
czą: gospodarcze i polityczne. Został
wrog na miejscu, którego doniedaw-
na wspierał stary ustrój, którego
wspiera dziś jeszcze wiele nieprze-
mienionych elementów dawnego
ustroju: instytucji, rutyny i obyczaj-
ju. Ale w takim układzie walka z
wrogiem klasowym staje się żywo-
wą, nieuniknioną koniecznością. W
jej wir wciągają masy chłopiekie co-
dzienne potrzeby i możliwości bez-
pośredniego ich rozwiązania coraz
bardziej racjonalnego, coraz bardziej
uposażonego.

Wiele lat upłynęło nim powstały
chłopskie zapisy kapitalistycznej
świadomości wsi. Dziś po 4-ach la-
tach Polski Ludowej garściami moż-
na zbierać dokumenty nowej dojrz-
łości społecznej, która wyraża drogę
i świadomości mas biedniackich
i średniorolnych. Zapisują je starszy
chłopek i młodzież. To nie są jeszcze
pamiętniki ani opowieści. Jest do-
piero okres początku, natarcia. Świa-
domość eksploduje byskawicami
celnych strzałów w klasowych bi-
twach, które narzuca wsi tok prze-
mian ogólnospołecznych w kraju
i na świecie, które nawiązują kolej-
no ogniwa prac każdego roku rolni-
czego. Te zapisy są samodzielne, ła-
two je odróżnić od powtarzalnych go-
tów haseł, ocen i uchwał. Szukają
swojej formy, nie codziennej, bo wy-
rażają przemiany historyczne, for-
my uroczyste, bo zawręczają chęć
patozów nowej, zwyciężającej epoki.

Autorem tych zapisów często nie
przychodzi do głowy, że konkurują
z poetami. Wysiłek wkładany w poe-
tycką formę potrzebny im jest do
uwyrażenia treści nowej świad-
omości społecznej, jaką przeżywają
wraz z innymi.

Wachlarz tej świadomości jest
szeroki. Podstawowe osiągnięcie to
— „przejście na oczy”.

„Byłem dzieckiem „towarowego”
[ustroju]
jego założen filozoficznych
i socjalnych”
pisze chłop z kieleckiego, pisze w
imieniu rzesz starego pokolenia.
„To nie że moja matka
nie zna Engelsa i Marksa
skoro w mojej bibliotece
znajdują się książki
tworzące socjalizm”.

U innego przeczytacie:
„Milcz Kołtuński i nie pchaj nie-
[czystego dzioba
[sumienie]
[podobać]
[judawaj],
[ze troszczysz się o jej zbawienie”.

Nie trzeba dokonywać przeglądu
pisma za ubiegłe miesiące, ostatnia
pocztą przynosi również takie ma-
teriały.

Chłopak z koneckiego sztydzi:
„W myśl Watykańskiego kanonu
zwrócić się trzeba do Waszyngtonu
i złączyć się silnym węzłem przy-
[jaźni]
[błażni”.

Chłopak z powiatu gdańskiego pisze:
„Niech popatrzy kapitał
anglo-saski potencjał
jak lud Polski postokroć
kocha pracę i wolność”.

Te wypowiedzi i podobne im pisa-
ją najczęściej chłopie niepartijni. I to
jest zrozumiałe. Partijni harują
i zabiegają o sojusz z bezpartyjnymi
i ze średniakami. Wahać się nie
chcą i bezpartyjni częściej folgują
chwilom subiektywnego odczucia co
się dzieje wokół niego i w stosunku
do niego. Ocenia przemiany, ocenia
udziału mu pomoc i od etapu do
etapu reaguje wzruszeniem, którego
zapis wielotysięczny przesługuje
przez redakcje pism, często w imię
surowych (a raczej konwencjonal-
nych) kryteriów estetycznych wrzu-
cany do kosza. Pomiędzy bliskimi
wzruszeń coraz silniejszy na każ-
dym etapie staje się udział w walce
i pracy bezpartyjnych chłopów
i średniaków. Ze tak jest, że tak
musi być, o tym wymownie świad-
czą te zapisy świadomości klasowej,
z roku na rok, z miesiąca na mie-
siąc potężniejące w wyrazie, jasno-
ści i czystości ideologicznej.

Plenum sierpniowe Zarządu Głównego
Z. S. Ch. przedstawicym mate-
riałem sprawozdawczym utwierdza
nas w przekonaniu o wielkim prze-
łomie na gromadzie. Hasło III-go
Kongresu: „*stawiamy na gromadzie!*”
nie zostało zawiedzione przez masy.
Raczej przeciwnie, to plenum zdało
sobie sprawę po paru miesiącach,
jak gorącożko teraz muszą działać
wyższe (centralne, wojewódzkie i po-
wiatowe) ognia Związku Samopo-
mocy Chłopskiej, aby sprostać po-
trzebom gromad w ich akcjach, w
ich bitwach, podejmowanych coraz
ostrzej, coraz szerszym frontem.

To jest rzeczą znaną, że oblicze
gromady kształtowała parafia i pa-
tronat kułacki. Wiadomo też, że był
i jest jeszcze stały aktywny tego
frontu na wsi. Jest ksiądz, jest kułak,
oni codziennie rozmawiają, oni mają
codzienny wpływ na średniaka, oni
codziennie odnawiają i okazują swo-
ją przewagę ekonomiczną, bo oni
wypożyczają maszyny, pieniądze,
ziarno, oni podnajmują do pracy,
oni przechwytyują w porę i na zapas
towary i wszelkie elementy pomoc-
nicze produkcji i zbytu. Oni nadal
intrygują, straszą i bałamucają. Jest
też rzeczą wiadomą, że na spółdziel-
ność gminną działają i wahańia
średniaka i napór bogaczy i napór
reakcyjnego kleru i nasza struktura
drobnotowarowej gospodarki; spół-
dzielnie prowadzą wymianę towa-
rową ze wszystkimi na wsi, z bogaty-
mi chłopami również.

Ale też powstał i rozrasta się dru-
gi front na gromadzie. Podczas wy-
borów do Spółdzielni Gminnych po-
jawiały się, owszem, wypadki kiedy
grupy członków dzieliły się nie kla-
sowo, ale terytorialnie, kiedy bro-
niono kandydatów i kułaków, bo po-
chodzili z tej samej wsi. Ale to były
wypadki osobobnne. Gałają „My-
stkowice”, pokazujące wojnę grom-
ad, trwającą dziesięciolecia, to już
miniona historia. Historia dnia
wygląda inaczej. Przejawia się ona
w ubiegłych wyborach do Spółdziel-
ni, przejawia w wyborach do Komit-
etów Członkowskich i Rad Kontroli.
Ten drugi a szeroki front zyskuje się

do natarcia zasadniczego. Jest auto-
rytet Samopomocy, gdzie się nie
obrócić wszędzie potrzebne świad-
czenia czy opinia Związku i wszę-
dzie ona dużo znaczy. Ale komu i na
co były wydane? Oto pierwsze pyta-
nie, które skrupulatnie zrewiduje
wszystkie pieczętki, hojnie przykla-
dane do papierków. Oto drugie —
komu wydano nawozy, materiały
siewne, narzędzia, artykuły konsum-
cyjne itp. Oto trzecie — komu przy-
znano kredyty? Dlaczego, kredyt na
konie dostali jeszcze i ci co mają
dwa konie i żrebaka, trzy świnię
i dwie krowy? Co zrobił z kredytem
na określony cel nabywca? Zamiast
konia sprawił sobie wesele? Oto
czwarte — sprawozdanie Spółdzielni
Gminnej: ile i jakich towarów i na
kogo rozdzielono w gminie, co i dla-
czego rozsprzedano w miasteczkach
gminnych i w centrach gminnej, a do
gromady nie doszło?

W kilkudziesięciu tysiącach wsi
zyskują się ostre bitwy klasowe,
które w swoim przebiegu zaprawiają
ten drugi front do gospodarzenia
na gromadzie w swoim zaś wyniku
otworzą nowe warunki na akcję
siewną, pierwszą pod płonny planu
6-letniego, na akcję grup produk-
cyjnych, które poraz pierwszy do-
piero od czasów kułacko — obszarni-
czych Kółek Rolniczych, od ziem-
niańskich „Rolników”, od zwią-
zków branżowych, które opiekowały
się bogaczami — skupiają organi-
zację różnych zakresów produkcji
rolnej w rękach chłopów na miej-
scu, w gromadzie. Znajdzie się pod
kontrolą tego frontu chłopów Spo-
dzielnia Gminna a tym samym o-
brót towarowy i zbył, będzie można
zatem i warto poprowadzić grupy
produkcyjne bez liczenia na sam a-
parat skupu i dawny instruktarz.
Sama gromada postawi przed sobą
zadania produkcyjne, co do ilości,
standardu, terminu, co do wzajem-
nej pomocy, wymiany doświadczeń
i kontroli. Będzie to jej walka o
wzrost zamożności mało i średnio-
rolnych, walka o wzrost ich siły
produkcyjnej na wsi, o podstawo-
wy wkład w sojusz chłopieko-ro-
botniczy — o realizację planu 6-let-
niego, który zakłada fundamenty
pod Polskę uprzemysłowaną i so-
cjalistyczną.

Plenum Sierpniowe Zarządu
Głównego Z. S. Ch. doceniło dyna-
mikę gromad. Nie patronowanie,
nie komenderowanie, „nie schodze-
nie do chłopca” — przeciwnie,
to chłopie chcą mieć referaty, stawiać
i uzasadniać projekty, to oni chcą
aby ich przez wiele godzin słucha-
no. To oni chcą wysłuchać sekre-
tarzy gminnych Z. S. Ch., oni potrze-
bują przeszkolenia swoich kierow-
ników grup, oni chcą swoją mło-
dzież, swych „prostych ludzi” wy-
szkolić na kursach, aby podolali co-
raz bardziej skomplikowanej apa-
raturze przedsiębiorstwa, jakim się
staje Spółdzielnia Gminna. Oni
chcą frontowi bogaczy i reakcji
przeciwstawić stały aktywny, stałe
kadry na gromadzie i chcą i chcą
szkolenia.

Chcą zatem szerokiego i głębo-
kiego sojuszu chłopieko — robotni-
czego. Pragną go we wspólnie z
robotnikami ideologii, bo „to nie,
że moja matka nie zna Engelsa i
Marksa, skoro w mojej bibliotece
znajdują się książki twórców so-
cjalizmu” — jak pisał chłop z kie-
leckiego. Pragną go w akcji łącz-
ności robotników ze wsią, nie tylko
w akcji gospodarczej ale również,
ale przede wszystkim politycznej
i kulturalnej. I jak najczęściej
jak najdłuższej, jak najbardziej
uczającej, jak najbardziej pomaga-
jącej do wyrównania sojuszu
robotnicemu w produkcji rolnej,
jej postępie, jej wyższej organiza-
cji społecznej, w zwycięstwach
walki z kułakiem na wsi, z wyży-
skiem i wstecznictwem.

Postawiliśmy na gromadzie, gro-
mada stawia na nowy ustrój!

Bo jak pisał Lenin: „Klasa ro-
botnicza, robotnicza partia komu-
nistyczna, zdając sobie sprawę ze
swojego zadania, uporczywie, cier-
pliwie, szeregiem stopniowych eta-
pów, budząc świadomość pracują-
cej części chłopstwa i idąc naprzód
tylko w miarę budzenia się tej
świadomości, tylko w miarę samo-
dzielnej organizowania się chło-
pów, posuwa się drogą ku nowemu
socjalistycznemu budownictwu”.

Jan Aleksander Król

WITOLD WROŃSKI

NAUCZYCIEL WALCZY O POKÓJ

Międzynarodowa Federacja Zw. Nauczycielskich powzięła doniosłą i słuszną decyzję w sprawie współpracy ze Światową Federacją Związków Zawodowych. Dla podkreślenia roli nauczyciela w budowaniu kultury nowego świata Międzynarodowa Federacja Związków Nauczycielskich uznana została za Pierwszy Departament Zawodowy Światowej Federacji Związków Zawodowych. W wielu krajach organizacje nauczycielskie walczą wspólnie z postępowymi organizacjami robotniczymi, chłopskimi i młodzieżowymi o ideały demokracji i stoją w jednym szeregu z bojownikami o wolność i trwały pokój. Ścisła współpraca nauczycielstwa z obywatelami demokracji ludowej obala sztuczne bariery, celowo wznoszone przez siły reakcji dla odizolowania pracowników umysłowych od klasy robotniczej. Akcja ta ma na celu osłabienie sił postępowego nauczycielstwa, a tym samym klasy robotniczej. Zrozumienie konieczności współpracy z klasą robotniczą wzrasta wśród organizacji nauczycielskich wielu krajów, wzrasta również tendencja do współpracy nie tylko w ramach własnego kraju, lecz w skali międzynarodowej, czego dowodem jest IV Międzynarodowa Konferencja Związków Nauczycielskich i fakt utworzenia Departamentu przy S. F. Z. Z.

Te tendencje, nurtujące szerokie sfery nauczycielskie, mają swoje głębokie uzasadnienie w zdobyciach na odcinku oświaty i wychowania krajów postępowych, w przeciwstawieniu do istniejącego stanu na tym odcinku życia państwowego w krajach kapitalistycznych.

KAPITALISTYCZNA OŚWIATA

Na terenie Marokka na milion dzieci muzułmańskich w wieku szkolnym, tylko 86.000 uczęszcza do szkół tzw. muzułmańskiego nauczania; studenci uniwersytetów żyją w niesłychanej nędzy a uniwersytety nie mogą się należycie rozwijać z powodu braków kredytów i subwencji.

Korea pod okupacją japońską przechodziła najbardziej ciężki okres w ciągu całej swej historii. Naród pozbawiony był praw politycznych, wolności słowa i prasy, a celem „oświaty” było zmuszenie młodzieży koreańskiej do postępowania i wyznawania „ideologii kolonialnej”.

Po uwolnieniu Korei północnej spod jarzma japońskiego, nauczycielstwo dokonało olbrzymiej pracy nad przygotowaniem nowego, demokratycznego ustroju szkolnictwa powszechnego. Podczas gdy w czasie okupacji japońskiej na terenie Korei północnej istniały 1372 szkoły powszechne i 115 szkół średnich i technicznych, gdzie pobierało naukę 910.000 dzieci, w trzy lata po wyzwoleniu tj. w roku 1948 czynnych było 3245 szkół powszechnych oraz 947 szkół średnich i technicznych, w których naukę pobierało 1.740.000 uczniów. Rozpoczęto akcję likwidowania analfabetyzmu poprzez szkoły wieczorowe i kursy dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. Jakże inaczej sprawa przedstawia się na terenie Korei południowej, gdzie w roku 1946 było 335 szkół średnich, a w roku 1947 pozostało ich 376. Lepsze zabudowania szkół wyższych zamienione zostały przez władze amerykańskie na szkoły tańca, kawiarnie i kluby. Postępowe nauczycielstwo południowej Korei prowadzi wspólnie z klasą robotniczą nieustępliwą walkę przeciw antyoswiatowej polityce władz amerykańskich.

Na Węgrzech kapitalistycznych sprawy oświatowe były całkowicie zaniedbane. Dla większości dzieci robotniczych wiek lat 10 był równocześnie końcem nauki. Uniwersytety i szkoły średnie stały się jedynym otworem dla dzieci klas uprzywilejowanych. Dzieci robotnicze i chłopskie, stanowiące większość dzieci w wieku szkolnym narodu węgierskiego, reprezentowały zaledwie 5 proc. uczniów, a na uniwersytetach procent ten był o wiele mniejszy. Ludowa Demokracja węgierska przeprowadziła całkowitą nacjonalizację szkolnictwa, aby przede wszystkim skończyć z zacofaniem i analfabetyzmem. Została stworzona 8-klasowa szkoła podstawowa, która wszystkim dzieciom bez względu na pochodzenie, religię, zapewnia ogólnie podstawowe wykształcenie. W roku 1938 kształciło się w węgierskich szkołach średnich 30.000 uczniów, a w roku 1949 ponad 70.000.

W Polsce przedwójnej system szkolnictwa i jego treść dostosowane były do potrzeb klas posiadających. Wpływ nauczycielstwa na kształtowanie się oświaty i wychowania był ograniczony do minimum. Wielostopniowe szkolnictwo i tzw. „ślepe ulice”, nie zezwalały

absolwentom seminariów nauczycielskich na studia uniwersyteckie, były najlepszym wyrazem tendencji rządowych. W roku 1939 młodzież robotnicza i chłopska w szkołach średnich i ogólnokształcących stanowiła 13,7 proc. ogółu uczniów, a w tym przeważały dzieci bogatych chłopów. Nie lepiej kształtowała się również sytuacja na odcinku zawodowym, gdzie nauczyciel szkoły powszechnej społecznie nie dorównywał granatowemu policjantowi.

NAUCZYCIEL WALCZY

W momencie, gdy starły się dwa światy: świat postępu i świat zacofania, wzrasta szczególnie społeczna rola nauczyciela jako wychowawcy. I tam właśnie, gdzie walka o oświatę robotniczą i powszechną wchodzi na porządek dzienny, rola nauczyciela jest niezmiernie doniosła. Oczywiście intencją tych, którzy chcieliby utrzymać stan ciemnoty i zacofania dla celów panowania klasowego, jest całkowite ograniczenie dostępu do szkół dla tych elementów, które w państwie są najbardziej żywotne i aktywne. W walce o powszechną oświatę, o likwidację analfabetyzmu, o postępowe oblicze społeczeństwa dostrzegamy elementy walki o pokój. Zadania, które spadają na nauczycielstwo są dwójakie: w państwach Demokracji Ludowej, nauczyciel winien przyspieszać proces socjalizacji; tam natomiast, gdzie wszechwładnie panuje kapitalizm, winien podjąć walkę z ciemnotą i zacofaniem. Nauczyciel winien walczyć z kosmopolityzmem i tendencjami separowania szkoły od współczesnych prądów społecznych, z teorią szkoły apolitycznej.

Wychowanie w duchu demokratycznym można prowadzić jedynie wtedy, jeżeli otwarte są szerokie perspektywy awansu społecznego dla szerokiej mas ludu pracującego. Tam, gdzie szkoła zarezerwowana jest dla klas uprzywilejowanych, nie ma mowy o wychowaniu obywatela w duchu potępy. System szkolnictwa, który uniemożliwia masom ludowym dostęp do wyższych uczelni, staje się ekskluzywny i antydemokratyczny. A zatem należy prowadzić walkę o system szkoły otwartej, bez „ślepych uliczek”, dającej każdemu obywatelowi możliwość kształcenia się wedle swej woli i zdolności, o naukę w języku ojczystym dla każdej narodowości.

Drugim warunkiem wychowania w duchu demokratycznym jest stworzenie takiego systemu szkolnictwa, który by gwarantował równy start wszystkim kontynuującym studia. Dzieci mas pracujących w pierwszym rzędzie winny docierać do studiów wyższych, im zapewniona winna być przez państwo i społeczeństwo pomoc materialna i moralna.

NA DWÓCH KRAŃCACH

Wychowanie w duchu demokratycznym zakłada, że celem szkoły jest ukształtowanie świadomych obywateli w służbie dla społeczeństwa i demokracji. Sprawa zaś demokracji jest sprawą wolności i jej treść zawiera zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka. Jeśli poddamy analizie treść nauczania w szkołach ustroju kapitalistycznego, to cel wychowania „demokratycznego” zawiera w sobie specyficzną dwoistość, bowiem z jednej strony głosi się apolityczność, lojalność wobec państwa i wpaja się zasady obowiązków obywatelskich, bez uwzględnienia stosunków społecznych. Z drugiej zaś strony wpaja się wychowankom ideały przepojone duchem konserwatyzmu, co w rezultacie sprzeczne jest z celami wychowania hoidalnego interesem klas posiadających. Obywatela amerykańskiego wychowuje się w duchu interesu, co sprzeczne jest z tym, że wszelka pomoc człowieka dla człowieka winna być odpłatna i pozbawiona elementów bezinteresownego miłostki. Jeśli „pomaga się” jakimś państwu lub narodowi to tylko dlatego, aby mieć z tego w przyszłości korzyści.

Dzieci uczą się prawideł krążeń pieniężnych, zasad ekonomicznych oraz przepisów prawnych odnoszących się do tego procesu. To też nie dziwne, że tak wychowany obywatel nie jest wrażliwy na nierówność społeczną, bogatych i biednych, jak również na niedolę ludzką; stąd też nieudolny stosunek do murzynów w Ameryce jest niewątpliwie rezultatem wychowania. Na Zachodzie wiele szkół pozostaje w rękach prywatnych, gdzie stosuje się różnorodne kierunki i metody nauczania, duch zaś w tych szkołach jest wybitnie reakcyjny i wrogi wszelkiej młwli postępowej.

Inaczej natomiast kształtuje się



Z sali obrad Konferencji Zrzeszenia Zawodowego Nauczycieli przy Światowej Federacji Związków Zawodowych, sierpień 1919.



Delegacja radziecka.

zagadnienie wychowania o treści prawdziwie demokratycznej w tych krajach, które obalają ustrój kapitalistyczny. Szkoła kształtuje typ obywatela upolitycznionego i odpowiedzialnego, który winien interesować się losami swego kraju a w razie potrzeby wziąć udział w kierowaniu jego losami. Wychowanie prawdziwie demokratyczne w krajach socjalistycznych zapewniają następujące elementy ustroju społecznego i kultury tych krajów: — praca wyzwolona z wyzysku, oparta na współzawodnictwie i stąd niezwykle produktywna, — patriotyzm socjalistyczny, łączący tradycje narodowe ludów z interesami wszystkich pracujących — kraju i ze sprawą postępu w interesie całej ludzkości; — poszanowanie człowieka, prawdziwy humanizm, któ-

ry obejmuje również miłość wobec walczących o wolność, godność ludzką, niepodległość i honor, jak również zawiera nienawiść do ciemności i ucisku.

Wiele prądów w pedagogice państw kapitalistycznych usiłowało zlikwidować w szkolnictwie metody powierzchownej tresury, które pozostawiały w spuściznie szkoły duchowe. Zwrócono przeto uwagę na sprawę wychowania osobowości, powstała tzw. koncepcja demokratyczna — wychowanie oparte na przesłankach psychologicznych. Pod szyldem wychowania demokratycznego grasuje tu jednak formalizm, hoidalny tendencjom politycznym państwa kapitalistycznego. Zakłada się bowiem, że wychowanie zbiorowe jest samo przez się demokratyczne, niezależnie od składu grupy, jak również od celu wychowania.

Znakomity pedagog radziecki Antoni Makarenko wykazał jednak, że nie można fetyszyzować ani społeczności, ani pracy jako zasad pedagogicznych, i że praca „nie może osiągnąć jakiegokolwiek bądź rezultatu wychowawczego, jeżeli obok niej nie ma wychowania postępowego, wychowania politycznego i moralnego... Możemy nauczyć człowieka pracować jak tylko chcemy; jeżeli nie pozwolimy na jego uczestnictwo w życiu politycznym i społecznym, praca ta nie będzie miała żadnego pozytywnego rezultatu”. Nauczanie demokratyczne... nie jest sprawą formalnej metody, która maskować może antydemokratyczne tendencje pedagogiczne. W krajach o ustroju kapitalistycznym wychowanie demokratyczne opiera się o zasady wyłącznie formalne: — o formalną wolność szkolną, która w gruncie rzeczy uniemożliwia dzieciom pochodzącym z warstw pracujących dostęp do szkół wyższych; — o formalne wychowanie obywatelskie, które tworzy potulne obiekty dla rządów klas posiadających; — metody formalnie demokratyczne pozbawione właściwej treści, przystosowane dla celów polityki imperialistycznej.

W obozie krajów postępowych na odcinku prawdziwego wychowania demokratycznego i w obliczu walki z siłami ciemnoty i wsteczności osiągnięto niewątpliwie postępy: ustanowiono wolność nauczania, zabezpieczono dostęp do szkół dzieciom ludu pracującego, stworzono typ wychowania obywatelskiego, którego treścią jest poszanowanie człowieka walczącego o wolność i godność ludzką przeciw ciemnościom i wyzyskowi, troska o rozwój kraju socjalistycznego i o budowę socjalizmu w krajach wyzwolonych; wypracowano metody nauczania, która zapewnia wszechstronny rozwój nowego człowieka, umożliwia rozwój pracy ludzkiej wyzwolonej od wyzysku, uczy odpowiedzialności historycznej wobec sprawy socjalizmu i postępu ludzkiego.

WALCZYMY O POKÓJ

Walka mas nauczycielskich o likwidację kapitalistycznego systemu nauczania i organizacji szkolnictwa jest zarazem walką o nową szkołę, wychowującą nowego obywatela. Walka o wychowanie nowego obywatela jest walką o lepsze jutro, o sprawiedliwość społeczną i pokój między narodami. Likwidując ujemne skutki tradycyjnego wychowania, likwidujemy do wszystkich, co różni obywateli, co wprowadza podział narodów na „gorsze” i „lepsze”. Walka o nową szkołę, o wychowanie nowego człowieka jest walką o pokój między narodami.

Roman Zimand

Witold Wroński

ROMAN ZIMAND

HISTORIA JEDNEGO STRAJKU

Lata 1936/37 to okres nasilenia aktywności obozu rewolucyjnego w Europie. Ostateczne ugruntowanie socjalizmu w ZSRR znajduje wyraz w uchwaleniu Konstytucji Stalina; we Francji zwycięża Front Ludowy; w Hiszpanii toczy się wojna domowa; w Polsce wypadki lwowskie, strajk chłopski, walka o Front Ludowy, wykreślają linie narastającego buntu mas ludowych.



Strajk pracowników ZNP rok 1937.

Ale już pod koniec 1937 r. kapitalistyczne rządy państw europejskich przystępują do kontrofensywy. W Polsce „pułkownicy” zabierają się do wykończenia „żydokomuny i masonerii”. Przykład Niemiec i Włoch spęda sen z powiek rodzimych faszystów. Wzmagają się tempo faszystyzacji kraju.

Jednym z pierwszych obiektów ataku faszystowskiego rządu stał się Związek Nauczycielstwa Polskiego, w którym kierowniczą rolę odgrywała zaradca i aktywna grupa nauczycieli lewicowych. Temu fragmentowi ofensywy faszystów polskiego poświęcona jest ostatnio wydana książka Wandy Wasilewskiej p. t. „Historia jednego strajku”.

Książka Wasilewskiej podaje historię strajku okupacyjnego pracowników Zarządu Głównego ZNP, który trwał od października do grudnia 1937 r. oraz kilku miesięcy postrajkowych, w czasie których sanacja próbowała zneutralizować rezultaty zwycięskiego strajku.

nego ZNP i nazaczyło na jego miejsce kuratora, faszystowskiego działacza z Obozu Młodej Polski — Musioła. Nakaz starostwa, motywowany oszczerstwami i nieudowodnionymi zarzutami pod adresem gospodarki, Zarządu, stanowił jeden z punktów programu walki przeciw demokratycznemu nauczycielstwu. W odpowiedzi na decyzję starostwa pracownicy ZNP zorganizowali strajk oku-

który odbył się w lutym 1938 r., prasa inspirowana przez sanację i endemicznie prowadziła kampanię przeciwko ewentualnemu wyborowi starego Zarządu. Jednak i tym razem pomimo kampanii prasowej i mimo oficjalnego oświadczenia Składowości, reakcja poniosła klęskę: Zjazd wybrał zarząd bynajmniej nie po myśli reżimu. Wówczas zarząd sanacji dosięgła głównych inicjatorów strajku. Pod naciskiem rządu i nie bez cichej zdrady socjalistów z Związku zawodowych usunęli zostali początkowo członkowie komitetu strajkowego Wanda Wasilewska i Janina Broniewska, a następnie znaczna część pracowników fizycznych, którzy stanowili najbardziej bojową grupę strajkującą.

Autorka zaznacza na wstępie, że na treść książki złożyły się jej osobiste wspomnienia. Książka posiada jednak wagę źródła historycznego. Wartość książki Wasilewskiej polega nie tylko na tym, iż w sposób wysoce artystyczny wmontowała w tok opowiadania szereg autentycznych dokumentów. Decyduje tu przede wszystkim doskonałość analizy.

W jednym z listów do matki Kautskiego Engels pisał: „...sądze, iż tendencja powinna samodzielną wypływać z sytuacji i fabuły (utworu literackiego — R. Z.) bez szczególnego jej podkreślenia i że pisarz nie jest zobowiązany do ukazywania czytelnikowi w gotowej postaci przyszłego historycznego rozwiązania przedstawianych przezeń konfliktów społecznych”. Wydaje się, że „Historia jednego strajku” w zupełności odpowiada temu postulatowi. Książka Wandy Wasilewskiej ukazuje „oblicze dnia” tamtych lat, oblicze walki obozu postępu, oblicze polskiego faszystwu.

*

Jednym z ciekawych aspektów ukazanej w „Historii jednego strajku” walki klasowej w przedwójnej Polsce jest sprawa „rodzimego faszystwu”. Autorka podkreśla, że akcja przeciw ZNP była pierwszym punktem ataku na wolność związków zawodowych. Była to pewna „proba siły”. W warunkach wrastającej faszystyzacji kraju wolne związki zawodowe, nawet pomimo oportunistycznej polityki prawicowych socjalistów były „solą w oku” filarów reżimu. Inspektoraty pracy, prześladowane ale wciąż żywotna prasa lewicowa, obowiązek liczenia się z tymi nikimymi swobodami, jakie daje ustrój burżuazyjno-demokratyczny krepowały sanację, instruowały pogadawki, w jaki sposób likwidowano te problemy w Niemczech i Włoszech.

Akcja, jaką rozpoczął przeciw

związkom zawodowym Składowości, premier i minister spraw wewnętrznych — charakterystyczne dla faszystów skupienie władzy — była tylko fragmentem długotrwałego, a tylko bardziej na tym polu ostrożnego procesu wprowadzania totalitarnych rządów w kraju. Kształtowanie się ustroju politycznego Polski w zaraniu drugiej niepodległości przypada na okres, w którym zwycięstwo Rewolucji Październikowej, przyływ ruchu rewolucyjnego, zmuszają burżuazję do poważnych ustępstw. Konstytucja marcową posiadała cechy względnej demokracji. Po załamaniu się fali rewolucyjnej w Europie i w kraju, od przewrotu majowego, następuje okres likwidacji demokratycznych relikwów w ustroju Polski.

Pan premier wyjaśnił Sejmowi motywację akcji przeciw ZNP w przemówieniu, zalecającym się zarówno znakomitą polszczyzną, jak i „wnikliwą” analizą działalności Związku: „Z tym Związkiem Nauczycielstwa Polskiego długo się namyślałem, jakby postąpić z nim, to znaczy z jego Zarządem... Tutaj jest np. „Teatr w szkole”, gdzie jest przedstawione, jaki ma wpływ wychowawczy teatr w Sowietach... My nie wychowujemy dzieci w teatrze. Tego rodzaju kierunek jest szkodliwy. Jest to kierunek niezgodny z psychiką narodu”. Mentalność premiera w proporcji niższego stopnia służbowego reprezentuje kurator „musiołek”. Te dwa modelowe typy wielkiego i małego faszysty polskiego zanotowała historia strajku ZNP. Książka Wasilewskiej stanowi kapitalny przyczynek do dziejów faszystwu w Polsce.

Opanowaniu metody realistycznej przez Wandę Wasilewską świadczą również fakt, iż analiza faszystwu bynajmniej nie stoi w centrum poruszanych przez autorkę zagadnień. Wprost przeciwnie — Wasilewska ukazuje faszystwu o tyle, o ile jest to konieczne dla naświetlania walki mas pracujących, głównego problemu książki. „Historia” wykazuje, iż stosunkowo powolna faszystyzacja kraju była m. in. wynikiem uporczywej walki, jaką klasa robotnicza Polski toczyła z sanacją.

*

Strajk pracowników Zarządu Głównego ZNP nie był z wielu względów strajkiem typowym. Autorka pisze o swoich pierwszych wrażeniach: „Strajk okupacyjny... Bagaćka! Brałem udział w strajkach murarzy w Krakowie. Ale to były strajki murarzy. Co i czy można zrobić z pracownikami tych wielkich gmachów, z pracownikami tak różnorodnymi, z tą gromadą urzędni-

*) Wanda Wasilewska: „Historia jednego strajku”, wyd. „Nasza Księgarnia”, Warszawa, 1940.

TADEUSZ ORLEWICZ

HANDLARZE I SPÓŁDZIELNIE NAD PILICĄ

ROZMOWY W POCIĄGU

Linia kolejki, zwanej powszechnie grójcecką, biegnie przez Piaseczno, Tarczyn, Grójec do Mogielnicy i do Nowego Miasta. Zaczyna więc swój bieg w Warszawie, przecina powiat warszawski, przebiega przez wzdłuż powiatu grójceckiego i wciśnięta się na kilkanaście kilometrów w głąb powiatu rawsko-mazowieckiego, kończąc swoją marszrutę niedaleko od Pilicy. Nie też dziwnego, że kolejka ta obsługuje setki dostawczyń mleka i nabiału do stolicy, a w porze letniej tędy przepływa duża fala drobnociepłoty i hurtowego transportu owoców, szczególnie z grójceckiego, synającego z wielkich sadów i pólnych drzew owocowych.

Płynnie tędy obfity strumień pokątnych dostawców i pokątnych handlarzy. Smutny obraz wielu łańcuchów w pośrednictwie, które daje żer różnym mniejszym i większym spekulantom, a konsumentowi przynosi towar drogi, bo z dziesiątych rąk.

Obraz ten mówi, że sieć spółdzielczych skup, która istnieje właśnie po to, aby uchronić konsumenta przed zbędnym i kosztownym pośrednictwem, nie została jeszcze w teren tak, jak tego wymaga rynek aprowizacyjny stolicy i potrzeby wsi. Zresztą i w samej spółdzielczości terenowej, nie działa się dobrze, gdy panowało tam kumoterstwo, gdy górowały elementy, rekrutujące się z grona bogaczy i wyzyskiwaczy wiejskich, gdy legła się biurokracja.

Kiedy rozmowa w kolejce dotykała tego tematu, wiele obiecywano sobie po nowych wyborach do spółdzielni gminnych, wyznaczonych na dwie pierwsze niedziele lipca.

W kolejce jechał z mną: chłop z grójceckiego, gospodarz na 3 ha; kobieta, która wiozła z Warszawy puste kosze po truskawkach i drugą, która wracała z kilkunastoma bukami po mleku i z kobiółką, w której było przed tym masło i ser. Ci moi przygodni towarzysze podróży otwierali sprawę: do spółdzielni nie dostarczają, bo tam to kręca nosem, bo za mało dają, a właściwie wszystko dlatego, że „ten czy ów, co siedzi w spółdzielni, to ciągnie i dla siebie i dla swoich kumotów a na ogół nie dla”.

Kim są ci którzy tak ciągną dla siebie i dla swoich kumotów? Chłop powiedział: „Ma 20 ha, dwóch parobków, robić mu się w roli już nie chce, to i zabrał się do spółdzielni, bo myślał, że tak jak dawniej, co będzie chciał, to będzie robił”. Kobieta z kobiółką „po truskawkach mówi: „Były sklepikarz, kum ze wszystkimi bogatszymi ze wsi”.

HANDLARZE TOWARAMI ŁOKCIOWYMI

W Nowym Mieście widziałem „przy pracy” handlarzy dwóch branż, „łokciowych” i handlarzy bydłem, końmi lub nierogacizną. Ci jechali do jarmarku do jarmarku. W poniedziałek są w Nowym Mieście, we wtorek w Mogielnicy, w środę w Odrzywole.

W dni jarmarczne handlarze tekstyliami rozkładają towar na straganach, towar najczęściej w podłej jakości gatunku, choć wzorzysty i biłający w oczy rozmaitymi kolorami. Ceny na towarach są, bo jakże mogłyby być inaczej, ale to tylko dla wątpliwej ozdoby straganiarskiego przedsiębiorstwa. Faktycznie bierze się znacznie więcej.

Chłopa dezorientuje to, że handlarz wcale nie spieszy się ze sprzedażą towaru. Działają tutaj nieuchwytna, a jednak wyraźna zmowa pomiędzy handlarzami, którzy ustalają obowiązujący dla czarnego rynku jarmarczny cennik i ustalają podział na odpowiednie asortymenty towarowe. Gra również fakt, że miejscowa spółdzielnia np. w Nowym Mieście jest źle zaopatrzona w odpowiednie tekstylia.

Widziałem przy pracy komisję cennikową, złożoną z dwóch osób. Starannie i dokładnie badają rachunki, spisują protokoły w przypadku uchybień, których jest na każdym jarmarku mnóstwo, konfiskują nawet towar (w wypadkach szczególnie jaskrawych). Ale prawdziwych efektów tej kontroli nie widziałem, bo przecież nie można uważyć protokołu, konfiskaty czy mandatu za osiągnięcie pozytywne, budujące, twórcze.

Jak zdziłem się zorientować główny trzon komisji jest niezmienny, jak mówią na jarmarku w Nowym Mieście: „ten wysoki, chudy blondyn z Rawy”, a więc urzędnik starostwa. Jego pojawienie się na jarmarku jest sygnałizowane z daleka wszedłszyła poczta „podaj dalej”. Zanim rozpocznie pracę, to co może i powinno być schowane, zniknie w publicznych dmach, w przygodnych wozach, pod szerokimi spodniami handlarze. Jeżeli komisja lustruje rząd straganów z tekstyliami, przekupnie zawieszają praktycznie sprzedaż, a kupujący staje i albo przygląda się rozprawie komisji z tym lub innym właścicielem straganu, albo czeka aż „nalot” przejdzie. A wtedy po staremu — cena na towarze leży, za inną zaś, znacznie wyższą, idzie sprzedaż.

Jest jakieś dziwne w chwilach „nalotu” porozumienie pomiędzy chłopstwem a jarmarczniemi prze-

kupniami, takie przymierze, jak pomiędzy pijawką a czkwiakiem. Komisja odchodzi, a życie idzie dawnym, złym torem, na którym lichwiarz i spekulanci zbija pęczniejącą kabzę. Wydaje się, że w konkretnym przypadku takie metody, jak lotne komisje, odpowiednia polityka podatkowa, stanowią tylko częściowe rozwiązanie zagadnienia.

Lotne Komisje są złe, jeżeli składają się wyłącznie z czynników urzędowych. Tu bowiem powinny zagrać całą siłą swego uświadomienia klasowego miejscowe koła i komitety ZSCh, PZPR i St. L. Rozumiem, że dużą rolę w małych miasteczkach a zwłaszcza na wsi gra nieszczerne kumoterstwo, często wywodzące się w warunkach wiejskich z mocno rozgałęzionego pokrewieństwa czy powinowactwa. Ale uświadomiony aktyw partyjny musi być od tego wolny. Jeżeli więc lotna Komisja cennikowa ma spełnić swoje



zadanie, to chyba trzeba, aby był w niej reprezentowane wsie, które zazwyczaj uczestniczą w jarmarkach, oraz miejski aktyw robotniczy.

Komisja, którą obserwowałem przy pracy w dniu 18 lipca na jarmarku w Nowym Mieście, wykazała mimo swego skromnego składu dużo zalet, ale odznaczała się tym, że pracę jej sprawiała wrażenie jeszcze jednej rzekomej odległości, która spada ze strony „władzy” po prostu na przekupniów i chłopów. Przy akompaniamencie okrzyków pod adresem „przypatrzących się” pracom Komisji w stylu: „no i czego gęby rozdzwiać”, „czego to szukacie”, „nie wasza sprawa, idźcie sobie stąd” nie dziwi takie nastawienie.

Trzeba, aby w społecznej kontroli cen na jarmarkach było mniej krzyków, a więcej wyjaśnień i pouczeń i to właśnie pod adresem tych, którzy przyglądają się, których przedtem i potem przekupnie potrafią skutecznie podsukać. Nie powinno być tajemnicą dla nikogo, jak działa taka komisja, bo powołana ona została w interesie obywatelskim i dla walki z bekartami kapitalizmu: wyzyskiem, lichwą i spekulacją. Obywatelowi, który stał na czele takiej komisji w dniu 18 lipca w Nowym Mieście, niech te słowa starczą za usprawiedliwienie, dlatego — mimo jego okrzyków — nie przestałem przyglądać się kontrowaniu pierwszego straganu z materiałami.

NA TARGU BYDLĘCYM

Na targu świątyni, bydłowym i koniarskim szaleje nadal orgia spekulacji. Na pierwszy rzut oka wszystko toczy się normalnie. Chłop przyjechał z koniem na sprzedaż ten i ów podejdzie, zajrzy w zęby, pomaćca tu i ówdzie, pogada, odepjdzie. I tak krąży ludzie od konia do konia, od krowy do jółwki. Ale największą ruchliwość wykazuje paru zaledwie osobników. Są to handlarze bydła, koni i trzody chlewnej.

Bardzo mocno dostali oni po łapach właścicieli, słuszną polityką władzy ludowej, ale jeszcze gryza, jeszcze tu i ówdzie złapią potężny ochłap zysku. Niedawno oni to dyktowali ceny i nikt nie mógł sprzedać bez ich wglądu i nacisku. Działali i jeszcze dotąd działają w ścisłej ze sobą znowie.

W ubiegłym roku handlarze jeździłi wozami po wsiach i w niewiarogodny sposób oszukiwali chłopów przy zakupie trzody chlewnej, zwłaszcza za pszy prząd. Dziś ten zyskowny dla właścicieli spekulantów proceder urwał się, bo rozpoczęła się zbawienność dla chłopów akcja „H”, przysięży odpowiednie zarządzenia, a więc chętnie je podjęli. Ale akcja „H” nie usunęła np. handlu jarmarcznych prosiakami.

Pewien mój znajomy z Woli Pobiecińskiej miał 4 prosiaki ważące po 30 — 35 kg. Pojechał z nimi w jedną ze śród majowych na targ do Odrzywoła. Postanowił wziąć po 15 tysięcy za parę, jako że prosiaki były ładne, białe i pęć pochodziły z rasy dobrych tuczników.

Ledwie wóz z prosiakami znalazł na plac, już mój znajomy wjechał w obrotaach handlarza. Po dłuższych targach handlarz kupił prosiaka za łączną sumę 23.500 zł, przy czym najwięcej gadania było włas-

nie przy owych 500 zł, bo tego wymaga taktyka rutynowanego handlarza, a również gra i ambicja chłopu. Dokonczono wreszcie targu i handlarz przeniósł prosiaki na swój wóz, a po paru dosłownie minutach owe prosiaki z Woli Pobiecińskiej znalazły się na wozie chłopu z Rzezczy, który dał za nie handlarzowi 30.000 zł, a więc dokładnie tyle, ile mój znajomy pragnął za nie otrzymać. Zysk handlarza na tej drobnej dla niego transakcji wynosił 6.500 zł, czyli po 3.250 zł na parze prosiat. Wpadły one od razu w ręce handlarza, który już przy wjeździe kupił je za 18 tysięcy zł. W dwie godziny potem innemu gospodarzowi ten sam handlarz sprzedał jedną parę spośród tych samych prosiat za 10 tysięcy, drugiemu — drugą parę za 9 tysięcy. Na wozie handlarza kwicał jeszcze pięty prosiak. A zatem dwie godziny przyniosły spekulantowi w zysku 1.000 zł i prosiaka.

jak sprawnie i szybko działa lichwiarski monopol skupu.

Kim są ci handlarze jarmarczni? O tym mogą bliżej powiedzieć zapewne odpowiednie władze. Z moich pobieżnych obserwacji i z tego, czego zdołałem dowiedzieć się, wynika, że ta szajka, krążąca od jarmarku do jarmarku, pozornie nie różni się niczym od tłumu chłopskiego. Bo to i tak samo najczęściej ubrani, i twarze mają swojskie, i w obejściu nie wiele się różnią od reszty, a i wozem gospodarskim na jarmark przyjechać potrafią.

Ich aktorstwo i przez to zyskuje, że chłop normalnie na jarmark koński, bydlęcy czy świątyni rzadko zagłada, może dwa razy w roku, raz może i rzadziej. Nie zna więc tych, którzy stale jak sepy weszła tam żeru. W nocy każdy kot jest szary, a na jarmarku każdy jest dla sprzedającego kupcem. Dopiero obserwacja bliższa przynosi ślady konkretnej zmywy.

Młody ZMP-owiec, syn 1 i pół-hektarowego gospodarza, który zawędrował z mną na jarmark w Nowym Mieście, powiedział krótko: „Ci lichwiarze — to bogacze, to kanalie, którym nie chce się pracować, a tylko na krzywdzie ludzkiej żyją”.

Kiedy wracaliśmy wieczorem do wsi jeden z gościaków tak proponował rozwiązać sprawę: „Pytacie dlaczego tak się dzieje? A no jak się ma działać inaczej, gdy nasza spółdzielnia daje bacznie tylko na tuczniki. A po mojemu jak akcja „H”, to akcja „H” na całego. Ja np. chcę kupić sobie prosiaki. To ja idę do spółdzielni, płacę, tyle ile się należy, biorę prosiaki i jadę do domu. A jak nie ma w spółdzielni prosiaków, to dostaję kwit i na tym kwicie ma być napisane kiedy i gdzie mam te prosiaki za moje pieniądze dostać. Tak to byłoby i chłopu lżej i państwu lepiej, a wszelkie robactwo takie, jakie widzieliście dzisiaj, nie miałoby żeru i wyzdychałoby”.

Inny mój znajomy, poważny gospodarz, aktywny działacz SL, mówił tak: „Powinno być jak na tuczniki, tak i na prosiaki jednolita dla danego okręgu gospodarczego cena, obowiązująca wszystkich”. Odpadał wtedy różnorodny pijawki, bo chłop ulegał sugestii ceny powszechnie przez spekulantów narzuconej, nie znając mechanizmu i sprzężni, ceny te nakreślających.

Podobne rozumowania, mniej lub bardziej realne, snuli i inni — tym razem na temat znaczenia na razie trudniejszy do urzeczywistnienia: skupu i zakupu koni i bydła. Jest w chłopach głębokie zrozumienie istoty walki z wyzyskiem, jest pełna aproba dla spraw nowego lepszego jutra. Postawa bierna zaczyna zanikać, bo prawda o walce demokracji ludowej opanowuje coraz silniej myśl i duszę chłopu. Ale wobec krwiopijów z gatunku handlarzy jarmarcznych jeszcze staje bezradny, bo pieniądź jest drogi na wsi, a pieniądza tego często dużo potrzeba. Tylko dalsze wzmoczenie

szybko został rozprzedany. Było to dwa tygodnie temu. Niewielka różnica w czasie, a różnica w cenie kolosalna. Aż 40 proc.! Tyle każe sobie płacić spekulanci za to, że chłopu nie starczy cierpliwości na czekanie, aż w spółdzielni dostanie to, czego chce.

Obejrzałem jeden, drugi i trzeci sklep, nie mogłem dostać się do zakładu reżniczo-wędliniarskiego, bo był przy drzwiach niesamowity tłok i wiele kolejek. Dwa tygodnie temu, w dzień targowy, z szyb drzwiowych nie nie zostało, bo jakis „dowcipniś” pchnął tłum, poleciał szyby i skończyło się na krzyku. Ile w tym „dowcipie” było głupoty, a ile tendencyjnej złośliwości, trudno powiedzieć. Ale ludzie, przeżwając okoliczni chłopu, z „ogonka”, obok wymyślał na „dowcipniś”, który w międzyczasie ulotnił się, żalili się, że tak można stać parę godzin i nic nie dostać.

W biurze Spółdzielni Gminnej „Samopomoc Chłopska” dużo ludzi; każdy jest obsłużony szybko przez kierownika spółdzielni, ob. Walentego Chmielewskiego. Nawiązuję z nim rozmowę, przerywaną stale przez telefony lub nowych interesantów, których w dni targowe w żadnej spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej” nie brakuje.

Otóż spółdzielnia otrzymuje w Tomaszowie Mazowieckim przygotowany już z góry przydział z uprzednio ustalonym asortymentem. Stąd istotnie częste są fakty, że towary najczęściej poszukiwane przez członków spółdzielni, są przydzielane w minimalnych ilościach, ale za to przysyła się towar drogi i rzadko na wsi poszukiwany (np. ostatnio przydzielono 100 m materiału w doskonałym gatunku na „niewymowne” w cenie ponad 500 zł za 1 metr...). Sytuacja na odcinku polityki przydziałowej, stosowanej przez Oddział Centrali Tekstylnej w Tomaszowie Mazowieckim, ulega pomału stopniowo wyraźnej poprawie, ale musi być naprawdę niedobrze, jeżeli poprawa ta nie może choćby umniejszyć rozpanoszenia się spekulantów, jeżeli poprawa ta następuje dopiero pod wpływem interwencji kierownictwa spółdzielni Nowomiejskiej.

Spółdzielnia prowadzi własną masarnię, która obsługuje Nowe Miasto oraz dwie gminy: Lubania i Góra. Masarnia pracuje bez zysku, wyrabia kontyngent, wyznaczony przez Centralę Mięsną, a kontyngent ten przewiduje zaopatrzenie w wędliny przede wszystkim urzędy miejskie i gminne. W projekcie jest otwarcie dwóch sklepów masarskich, przy czym jeden z nich obsługiwałby ludność miasteczka, drugi zaś — okoliczne wsie.

Alle spółdzielnia samopomocowo-chłopska w Nowym Mieście nad Pilicą ma tylko sklepy. Jest ich obecnie 7, w tym, jak powiedziałem, jeden tylko w gromadzie. W najbliższym czasie do tej liczby mają przybyć dwa nowe punkty sklepowe w dwóch wsiach, a mianowicie — w Gostomi i Łęgonicach. O Gostomi zresztą często słyszy się w Nowym Mieście, bo to i wójt gminy Góra z Gostomi i przewodniczący

produkcji przewiduje wytworzenie w ciągu najbliższej kampanii 100 tysięcy litrów spirytusu.

Kontraktacja trzody chlewnej poszła na ogół pomyślnie, a nawet Nowe Miasto wykonało plan kontraktacji w 120 proc.; wsie okoliczne jednak nie dotrzymały planu gospodarcom nowomiejskim. Dla kontrahentów rozporządzono 100 ton paszy treściwej. Wg sprawozdań spółdzielnia zakupiła w okresie od lutego rb. do 15 lipca rb. trzódę chlewną na ogólną kwotę 38 milionów zł.

Początkowo akcja „H” nie znajdowała w chłopach okolicznych zwolenników, bo reakcjonisci i spekulanci działali, namawiali do sabotażu. Chłop drobnorolny i średniak akcji „H” nie sabotował; do tego nie miał powodu ani sumienia przykładać ręki. Ale trwała ociąganie się. Kiedy jednak wypłacono odszkodowanie za jedną i drugą sztukę, kiedy poczęto dawać premie, atmosfera uległa zmianie, otworzyły się usta i padły ostre słowa chłopskiej nagany pod adresem tych wszystkich, którzy akcji „H” szkodzili w opinii wiejskiej. W spółdzielni nowomiejskiej wypłacono odszkodowanie za 15 sztuk i kierownik Chmielewski jest najlepszym myśli na przyszłość.

Spółdzielnia prowadzi także skup skór reglamentowanych i futer, skup lub wymianę lnu i wreszcie skup jaj. Widziałem taki skup w Nowym Mieście w dniu 26 lipca rb. Za 1 kg jaj, płacono 240 zł, czyli mniej więcej po 12 zł za 1 jajko. Jaja zakupione natychmiast pakuje się do odpowiednich skrzyń i dostarcza do magazynów właściwej Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskiej. Trzeba przyznać, że skup ten odbywa się sprawnie i szybko. Jaka odgrywa rolę? Niewątpliwie ma duże znaczenie dla naszej gospodarki, nie tylko dlatego, że jaja są poszukiwanym artykułem eksportowym, ale również dlatego, że zmagazynowany zakup odgrywa bardzo skuteczną swoją rolę interwencyjną. Wyniki tego typu działania znają mieszkańcy wielkich miast, zwłaszcza w przededniu większych świąt, kiedy jaja nagle znikają w sklepach prywatnych, by gdzieś niedługo ukazać się po spekulacyjnych cenach. Wtedy właśnie rusza aparat interwencyjny C.S.M.J. i określona ilość jaj, rzucana na rynek w odpowiednim czasie, utracą wszelkie możliwości spekulacyjne. Ale na tym rola zorganizowanego spółdzielczego skupu jaj nie kończy się. W tym samym dniu pod koniec targu sprzedawano jaja po 11 zł za sztukę, a więc taniej niż oferowała spółdzielnia.

I wreszcie na konto osiągnięć, a raczej najbliższych pozytywnych planów spółdzielni zapisz należy dokonanie zamówienia zakupu nawozów sztucznych na sumę ponad 7 milionów zł oraz uruchomienie ośrodka maszynowego w Łęgonicach, który będzie mógł w powodzenie obsłużyć gospodarstwa w Nowym Mieście i w gminie Góra, a więc teren obejmujący ponad 20 gromad.

Spółdzielnia jest, pracuje i realizuje ambitne plany. Ostatnio odbyły się wybory do Zarządu; weszli nowi ludzie z Kwaśniewskim Wacławem, energicznym i ruchliwym członkiem PZPR, na czele. Powinna oczyścić się radykalnie atmosfera, przetrząsnąć do niedawna kumoterstwem i intrygantwem. Nowi ludzie, klasowo rozumiejący rzeczywistość, powinni w spółdzielni wzbudzić nowe życie, tym bardziej, że zamiast dotychczasowych 700 członków będzie ona liczyła około 2000 (w następstwie uchwał III Zjazdu ZSCh). Dziś obroty jej sięgają 16 milionów zł miesięcznie, za miesiąc mogą się podwoić i potroić. Ale mimo oddania sprawie i gorliwości ze strony nowego Zarządu, nie można pominąć milczeniem faktu, że personel spółdzielni jest bardzo słaby, że przy dużych obrotach ten słaby personel w liczbie 27 osób (bez kierownika i Zarządu) pracuje z najlepszą wolą, ale przy mizernych kwalifikacjach pracowników wyraźnie cierpi na tym spółdzielnia. Miejscowa Komisja Rewizyjna, działająca pod przewodnictwem prof. Jerzego Dawsona, stwierdziła, że spółdzielnia pracuje na najniższych w województwie kosztach handlowych. I tak m. i. miesięczny fundusz płac nie przekracza 240000 zł, a więc jest to 1/2 proc. obrotu. Ale to nie jest objaw zbyt pocieszający, gdy praktyka wykazuje poważną nieudolność personelu. Trzeba wołać wielkim głosem o jak najszybsze przekształcenie ogólnohandlowego całego personelu spółdzielni gminnych, trzeba domagać się, aby Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego ewentualnie CZS, szkoliły przede wszystkim gminniaków, tych, którzy prowadzić będą gromadzkie sklepy spółdzielcze, akcję kontrolowania, akcję skupu zboża itp. To, co dziś dzieje się w terenie na tym odcinku, jest na dłuższą metę szkodliwe w swych skutkach, a i na krótko nie przynosi plusów spółdzielczości gminnej.

W drodze z Nowego Miasta do Gostomi myślę o bezmiarze entuzjazmu i wiary w nowe budownictwo, entuzjazmu i wiary, które ludziami bez odpowiednich kwalifikacji pozwalają tworzyć lepsze warunki dla najszybszych rzysz ludzi pracy. Tym ludziom należy się nie tylko uznanie, podczas gdy spotyka ich często dyskwalifikacyjna nagana, ale należy się im pomoc fachowa, życzliwa rada i opieka.

Tadeusz Orlewicz



zdyskwalifikuje zwierzę, wystawione na sprzedaż, a z reguły ofiarowuje swoje usługi w pośrednictwie, występując zawsze jako wybitny i niezawodny znawca. I transakcja pomiędzy handlarzem a kupującym dochodzi do skutku: handlarz bierze tysiąc lub dwa tysiące za pośrednictwo, albo sprzedaje konia lub krowę, już teraz z drugiej ręki, dobijając sobie znacznie wyższy, spekulacyjny zysk. Handlarz handlarzowi zazwyczaj w drodze nie wchodzi i każdy z nich może być spokojny, że zwierzę, kupione na jarmarku w Nowym Mieście przez handlarza, a nie sprzedane przez niego na tym samym jarmarku, pójdzie w ręce chłopskie na innym jarmarku za znacznie wyższą cenę.

Handlarze zmocopolizowali hurtowy skup prosiat. Chłopi gostomscy, wólczańscy i pobiedziniacy mówią, że do wyjątków należy fakt, gdy prosiaki chłop kupi bezpośrednio od chłopu. Wystarczy stanąć przy wjeździe na plac, aby przekonać się,

walki klasowej i dalsza pomoc rządu robotniczo-chłopskiego może i powinna usunąć i tę beznadzieję.

SPÓŁDZIELNIA PRACUJE

W Nowym Mieście jest Spółdzielnia Gminna „Samopomoc Chłopska”. Widziałem jej sześć sklepów w samym miasteczku. A jak mnie informowano, jest i sklep siódmy — w Roszkowej Woli. Ponieważ zaciekał mi tekstyla, zawędrowałem na ul. Warszawską, gdzie część sklepu zajmuje właśnie ten dział. Niestety, żadnego z tych towarów, o które chłopu upominali się przy straganach, w spółdzielni nie ujrzałem. Były towary drogie albo towary „niekierunkowe”, jesienne lub zimowe, poza białym płótnem. Pytam o kreton, bo przed chwilą widziałem jak chłop kupował od sprzedawcy na targu zwykły kreton w różowe wyjasy w cenie 350 zł za 1 metr. Kretonu w spółdzielni nie ma, był niedawno po 210 zł za 1 metr, ale było go mało i bardzo

gminnej Rady Narodowej też z Gostomi i gostomska gromada buduje gromadzkim czynem piękny Dom Ludowy bez reklamy, bez rozgłosu i krzyku prasy.

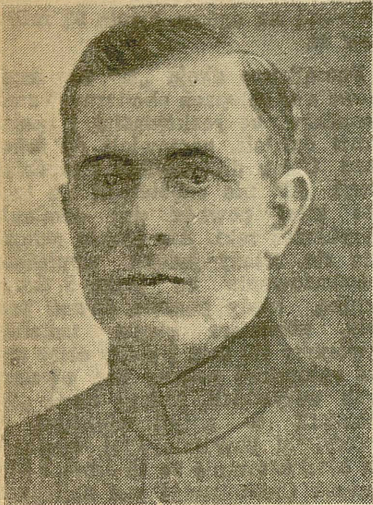
Poza tym spółdzielnia, poza coraz gęstszą siecią sklepów, ma w swoim zarządzie 4 resztkówki pomajatkowe, z których jedna zaledwie jest obiektem, gwarantującym opłacalność gospodarczą w warunkach organizacji społecznej. Ta resztkówka ma 44 ha powierzchni i przewidziana jest na ośrodek hodowli owiec i zwierząt rozpołdowych. Pozostałe o powierzchni od 5 do 7 ha przynoszą wiele kłopotów i napewnie wydatków, powinny więc znaleźć się jak najprędzej w puli Funduszu Ziemi.

Ma również spółdzielnia nowomiejska trzy gorzelnie rolnicze, z których żadna dotąd nie podjęła produkcji. Dopiero w bieżącej kampanii gorzelniowej ma ruszyć gorzelnia w Trębaczowie, dla której zakontraktowano już przez spółdzielnię 5.000 metrów kartofil. Plan

WACŁAW SZUMSKI

DROGA KOMUNISTY

Dziesięć lat temu, na drogach wiodących do Warszawy, niedaleko miasteczka Ożarów, padł śmiercią żołnierz Marian Buczek. Wymowa tej śmierci jest wstrząsająca. Dwadzieścia lat istniał reżim sanacyjny. Przez szesnaście lat Marian Buczek był więźniem sanacji. Żył w walce o Polskę — taką, jaką widział oczyma komunisty, bojownika o wolność ludu.



Marian Buczek.

Druga wojna ujawniła światu walczących od lat a — o ironio losu — nieznaną najciszej dotąd — bohaterów, tych, których w pierwszym rządzie wychowywały partie komunistyczne różnych krajów. Bo wszędzie, gdzie istniał bicz faszyzmu, gdzie podlegała brunatna swastyka, gdzie wolność narodowi groziła brutalną napaścią i przemocą faszystowską — wszędzie obrońcy ludu stawali w pierwszych szeregach walczących. Takimi byli Gabriel Péri i Fuczik, Marceli Nowotko i Marian Buczek. Takimi były tysiące anonimowych bohaterów przedwojennego podziemia.

Siła, która konsekwentnie wskazywała na niebezpieczeństwo faszyzmu, byli komuniści. Znany działacz KPP, Julian Brun-Broniewicz, pisał w „Odpowiedzi komunisty na deklarację Koca”:

„Obrona niepodległości jest nie tylko koniecznością, ale jest dziś sprawą szczególnie ostrą i aktualną, bo niepodległość Polski jest dziś bardziej zagrożona niż kiedykolwiek... Polska graniczy na wschodzie i na południu z ZSRR i Czechosłowacją, równie jak ona zagrożona przez potęgę hitlerowskich Niemiec i gotowymi do porozumienia z Polską w imię utrzymania pokoju. Polityka sanacji odrzuca wyciągnięte ku Polsce ręce...”

Polska jest dla klas posiadających Polską tylko dopóty, dopóki zapewnią im przywileje i zyski. Wola raczej zagładę Polski, niż Polskę robotniczą i chłopską. Wola Polskę oddać rąk Hitlerowi niż ludowi polskiemu.”

Komuniści odsłaniali narodowi prawdę. Walcząc z krzywdą społeczną i wszelkim uciskiem w państwie burżuazyjnym, zepchnięci do pracy podziemnej, odsiadujący ciężkie wyroki sądowe, byli sumieniem narodu. Ich prawdziwy, ludowy patriotyzm łączył się z walką o wyzwolenie społeczne. Życie Mariana Buczka jest wielkim przykładem zjednoczenia tych dwóch elementów walki i pracy komunisty.

Życie Mariana Buczka to nie tylko dzieje szesnastoletniej karni więziennej, nie tylko dzieje niestrudzonej pracy wychowawczej „najstarszego więźnia sanacji”, który zdobywaną przez ułamek studium więziennego, wiedzę teoretyczną przekazywał młodym towarzyszom, kształcił nowych bojowników, a codziennym oddziaływaniem chronił przed załamaniem i przygotowywał do dalszej walki. W życiu Mariana Buczka także nieeliczne lata wolności mają niezwykłą wagę. W latach tych Bucek wysuwa się na czoło obozu rewolucyjnego, a postawa jego staje się symbolem dróg ideologicznych proletariatu polskiego.

W latach pierwszej wojny światowej młody Bucek walczył w szeregach legionów, wierzył, jak wielu, w nową Polskę, ojczyznę wolnych ludzi pracy.

W roku 1918 rodzi się wolna Rzeczpospolita, o której marzyli

pokolenia. Tworzy się Rząd Lubelski, łopoczą czerwone sztandary na murach miast, w Czerwonym Zagłębiu i w całym kraju powstają Rady delegatów pracujących miast i wsi.

Marian Buczek w szeregach PPS Lewicy organizuje władzę ludową na Lubelszczyźnie, tworzy Milicję Ludową. Jest pełen entuzjazmu i twórczej energii.

Doświadczenia Mariana Buczka w tym okresie stanowią w skrócie lekcję jakiej polskiemu masom ludowym udzielił dwadzieścia lat II-iej niepodległości, dwadzieścia lat zdrady agend burżuazyjnych w ruchu robotniczym.

Prawicowe kierownictwo PPS wydaje rozkaz rozbrojenia Milicji Ludowej — siły zbrojnej ludu, która chronić miała Rząd Lubelski. Marian Buczek opiera się rozkazowi. Prawicowe kierownictwo PPS wydaje doświadczonego bojownika rozkaz przejęcia z grupą dywersyjną na stronę radziecką. Marian Buczek pisze: „Odmawiam wyjazdu na pracę kontrrewolucyjną przeciw władzy radzieckiej i przystępuję do opozycji PPS”.

Oszadzone na zamku Lubelskim, jako pierwszy więzień „ludowej” Polski, wychodzi Bucek po dwóch latach już skrytalizowany ideowo.

Wraz z grupą PPS-lewicy staje Bucek w szeregach KPRP, przechodzi drogę, jaką wiedzie nieobalony proletariatu polski w szeregi partii walczącej o rewolucję społeczną.

W szeregach Komunistycznej Partii Polski przechodzi Marian Bucek wielką szkołę rewolucji, w codziennej walce uczy się marksizmu-leninizmu. Uczy się trzeźwej oceny sytuacji własnego narodu i sytuacji proletariatu świata.

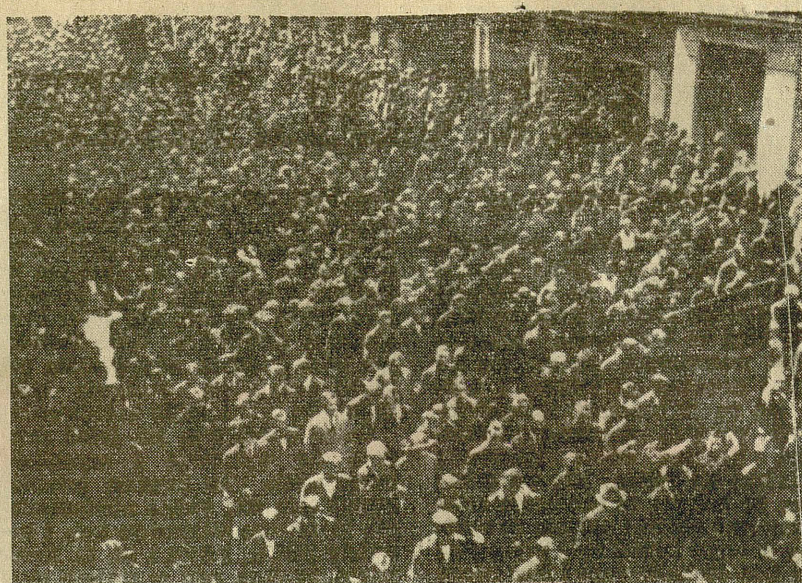
Oszadzone wkrótce ponownie w więzieniu na lat osiem, wychodzi w roku 1929. Człowiek, który przesiedział 10 lat w więzieniu, staje do pracy konspiracyjnej, jako jeden z czołowych działaczy KPP. Towarzysze podziwiają jego energię i zapał, trafna analiza sytuacji politycznej, talent organizatora i wychowawcy.

Robota partyjna w Warszawie, kierowanie organizacją partyjną w Katowicach, praca w Zagłębiu Dąbrowskim, potem znów Warszawa — to kolejne etapy krótkich lat wolności Mariana Buczka. W roku 1933 ma miejsce wielka „wyspa” Komitetu Warszawskiego. Policja otoczyła dom, w którym odbywało się zebranie partyjne, wygarniając czołowych działaczy KPP. Wpadł wówczas w ręce defensywy Marian Buczek, sekretarz Komitetu Warszawskiego.

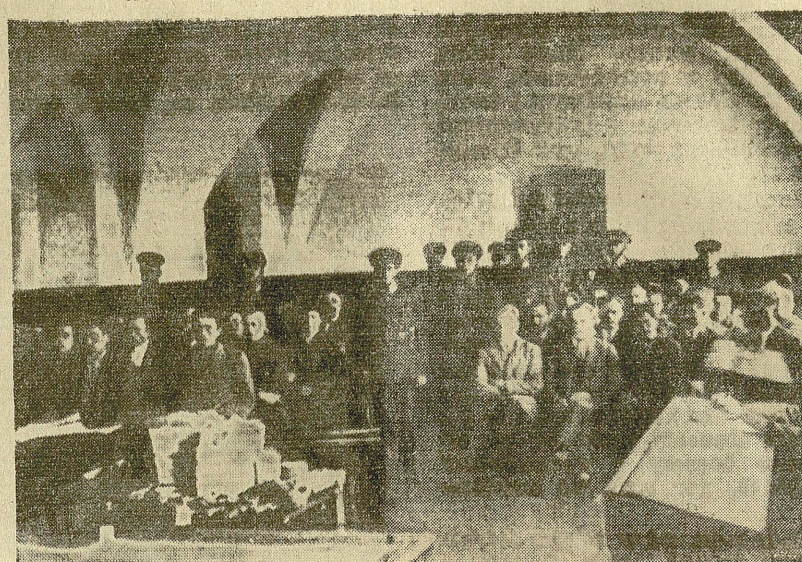
Nowy wyrok opiewa na 10 lat więzienia. Marian Bucek staje się reprezentantem rzeszy więźniów politycznych, osadzonych w więzieniach sanacji. Żądanie uwolnienia Mariana Buczka, ciężko chorego po latach karni, wysuwają robotnicy na setkach wieców i masówek. W roku 1938 Wanda Wasilewska pisze: „Po stokroć narażał się Marian Bucek na śmierć za wolność — niechże ci, którzy walczyli z nim razem, pomyślą teraz o tym, by nie umierał patrząc w okno przeciętą kratą”.

Gdy nad Polską zawisła bezpośrednio groźba agresji niemieckiej, więzień Rawicza, Grudziądza, Warszawy, Wronek, osławiony obóz Berezy, zapelniony był komunistami — „wrogami Polski”. Oni to właśnie we wrześniu i w późniejszych bojach zadokumentowali przelaną krwią swą wierność i oddanie ojczyźnie. W dniach burzy wojennej otwarły się wrota więzień politycznych. Setki, tysiące zmęczonych i wycieńczonych pobyt w celach ludzi poszły, by na polach bitew bronić ojczyznę przed faszyzmem. Taką postawą komunistów wiązała się organicznie z całokształtem ich działalności społecznej i trudnej, wyjątkowej walki o lepszą przyszłość Polski, o jej całkowite wyzwolenie społeczne, o jej niepodległy byt.

Gdy przyszły lata ciężkich doświadczeń dziejowych, komuniści, którym historia tylekroć przyznawała rację, stanęli w czołowych zastępach żołnierzy w walce o wolność i niepodległość narodów.



Manifestacja Komunistycznej Partii Robotniczej Polski w Łodzi, rok 1919.



Proces komunistów w roku 1927.

Stanął na czele zdradzonego, porzuconego, zapomnianego przez dowództwo oddziału żołnierzy Mariana Buczka, ten, który jeszcze poprzedniego dnia spoglądał i tęsknił do wolności za żelazną kratą Rawicza.

W bitwie pod Ożarowem zginął Marian Buczek, więzień sanacji, wierny do ostatka Polsce bohater-ski żołnierz.

Jego życie wplecione zostało w dzieje wielkiego procesu wykuwania się nowej Polski. Jego dzieło prowadzi dziś dalej w Polsce Ludowej, nieugięte, jego współtowarzysze z więzień i okopów frontowych, jego dzieło żyje i zwycięża wszędzie tam, gdzie toczy się walka o wolność, o pokój, o lepsze jutro narodów.

JOZEF POGAN

W KRĘGU ROBOTNICZYM I W KRĘGU DWORU

Gdy wspominał tragiczny wrzesień roku 1939, przychodzi mi na myśl życie wsi w okresie dwudziestolecia międzywojennego. W okresie, który między jedną a drugą burzą zapisał się w pamięci społeczeństwa poburą statystyką. By ją choć częściowo na ile wsi odzwierciedlać, uciekam się do przykładów „wch wsi w powiecie olkuskim koło Owcowa”.

Wies pierwsza — to Jerzmanowice (gm. Suloszowa), gdzie się urodził 12 lata przed wojną; wies druga — to Będkowie (gm. Cielonowice), gdzie przeżyłem 18 lat.

Obie wsie oddzielone pięciokilometrową przestrzenią, leżą tuż przy byłej granicy austriackiej, toteż ich uboższa ludność zajmowała się przed pierwszą wojną na większą skalę przemysłem spirytusu, tytoniu i zapalek. Wiele sposobów zarobkowania, a zatem i życia był w obu wsiach jednakowy. Ale zaraz po wojnie ten stan się zmienił: biedniejszej ludności Będkowie otwiera się droga do leżących poza poprzednim kordonem granicznym dworów i związana z tym swoista pańszczyzna; natomiast ludność Jerzmanowice musiała szukać wyjścia dalej, „w świecie”. I ta właśnie różnica odpływu do pracy zarobkowej odegrała pewną rolę w przyspieszeniu lub opóźnieniu narastania świadomości społeczno-politycznej mieszkańców obu wsi. Zbliżona do środowiska robotniczego, ludność Jerzmanowice nabrała świadomości społecznej; ludność Będkowie, wprężona w jarzmo sąsiednich dworów, nie budziła się długo. Dopiero może po dziesięciu latach, gdy zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie brakowało pracy, gdy biedniejsza ludność skazana została niejako na los zbieracz — świadomości społeczno-politycznej mieszkańców obu wsi zaczęła się powoli wyrównywać.

I

W KRĘGU ROBOTNICZYM

Zaraz po pierwszej wojnie „zbędni ludzie” Jerzmanowice, nie znajdujący w pobliżu zarobków, poszukiwali pracy dalej: w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego. Przeważnie synowie biednych i średnioludnych gospodarzy. A ponieważ średniaków było tam i jest nadal niewiele, przeto sporo młodzieży do Zagłębia odpływało. Było z tego zadowolenie zarówno wśród rodziców, jak i wśród pracujących na siebie dzieci. Często przecież słyszało się: — „Żebyś ino jako pórleł przez erpieć biedę, bo jak chłopaki dorosną, to pódo na Dąbrowę i bede „jęć chłyb”. Albo: „Mam w „ytku to marne zagony... Pódo na Dąbrowę i bede se żył... Hoho, na wies już nie wróce, bo ni mom po co... Ozy-

nie sie w Zagłębiu i bede robił do us... śmierci”.

Szalona, bezustanna dewaluacja pieniądza, skaczące z dnia na dzień ceny towarów, nie przerażały robotników. Podcieszali się nadzieją stabilizacji walutowej, a tym samym poprawą swego losu. Na niedziele czy święta przyjeżdżali do wsi dumni, poważni, schodzili się w grupki, popili sobie i strzelali z dynamitu. Zaczynali mówić „po pańsku”, żartowali sobie z gwary, z prymitywnego, wiejskiego życia, z obyczajów, a nawet z „ojcowiskich zagonów”, z fanatyzmu religijnego itp. Interesowali się też sprawami społeczno-politycznymi, godząc przede wszystkim w bałamucenie ludności przez kler, w magnatów i fabrykantów, a także w gburowatych bogaczy-chłopów.

Stabilizacja pieniądza, czyli zmiana marek na złote, nie przyniosła robotnikom poprawy losu, a Jerzmanowickim — „upragnionego szczęścia”. Zarobki były nadal marne i nie było nadziei na ich poprawę. Przeciwnie — sytuacja zaczęła się nawet pogarszać, bo wnet poszły powolne redukcje robotników. Za to zwichowało pozycję wiejskich proletariatus, ba, nawet średnioludnych, gdyż nie mieli nadziei na wysłanie swych dzieci do pracy w mieście. A gdy redukcje poczęły się rozszerzać, powstawał we wsi „kult ziemi”.

— „Wszystko za nic, nojlepszy swój jaki taki zagon i chałupina — powtarzano. — Kopalnia i fabryka ino na tymczasem... Ni ma to jak własne zochyliłsko...”

Szukano więc tych „zachyliłsk”. Biedniejszy chłopak żenił się z brzydką i starą panną, nawet z wdową, aby tylko miała kawałek ziemi. Również dziewczęta były jak wychodziły za mąż. W domach biedniejszych rodzin robiło się ciasno: zięć czy synowa z teściami, razem z żoną czy zamezną córką, nierazadko przy starych dziadkach — wszystko zaczęło „gnięść się razem na kupie”. A kto miał za co, kupował jakiś stary chlewik i na otrzymanej działce klecił chałupinkę. Chów owiec zwiększył się w dwójnasób. Nie bez racji chyba śpiewały dziewczęta o tych „zachyliłskach”:

„Mówili se chłopcy, jo ich [podśluchoła, Zyniłbym się z kozą, żeby morgi [miała”.

Bogatsi gospodarze zaczęli coraz bardziej górować i drwić z byłych robotników: — Dzis dawno strzyżyl z dynamitu... dawno nie chciał patrzeć na ziemię... Teraz jakosik pokochot zagony... robi na nich i owce po nawisł poso...”

„Umiłowanie ziemi” doszło do tego stopnia, że nie było zebrania, na

którym by nie przemawiano o „najdroższych i świętych zagonach”. Takim mówcą w Jerzmanowicach był prezes Kółka Rolniczego, Stanisław Odrobina. Stał się on pośmiśkiem znacznej części chłopów, przeważnie biedniejszych i młodszych. Nie rzadko chłopcy i przed kościołem przedrzeźniali go: „No! droższe zagony”.

„Stateczni, poważni gospodarze nie mogli znieść tej rozpusty i wykołowania dziadów. Bo jakże to? „Ziemia żywi, ziemia odziewa, roboty w kopalniach wzięły w łeb, a ta podła hotoła przedrzeźnia gospodarzy i zagony!” Zaczął się niebywały antagonizm między bogatymi a biednymi. Bogaci przymili się organizację, księżu, baldachim nad nim nosili, a biedniejsi, zaleźni od uświadomienia, patrzyli na nich zazdrośnie lub drwili.”

II

W ZASIĘGU DWORÓW

Gdy w Jerzmanowicach zaczęły się już na dobre przejawiać odruchy świadomości społecznej i zaostrzyła się walka klasowa, w Będkowie wszystko było jeszcze niemal po dawnemu. Uboższa ludność zadawała się zarobkami w pobliskich dworach. Tam pracując, nie przynosiła do wsi żadnego uświadomienia społeczno-politycznego, najwyżej westchnienie do Boga nad własnym przemęczeniem i biedą. Oczywiście, było we wsi paru nieoświadczonego lewicowców — biedaków, lecz ich stosunek do złego ustroju był tłumiony przez „przywódców” wsi, klerikalnych bogaczy, za którymi opowiadała się większość ludności. Bo jak od wieków, tak i przez pewien czas po wojnie — poważano i szanowano tylko pobożnych bogaczy i im we wszystkim wierzone. Ci nadawali całej wsi ogólny ton. Cóż mogło znaczyć paru postępowych biedaków bez poparcia robotników? Działali jakby „sami dla siebie” i stali się w oczach większości demagogami, występującymi przeciwko uświęconym tradycjom, religii, moralności itp. Przeglądali więc w szałnej sprawie nie tylko z bogaczami i klerikalami, ale nawet i ze średniakami, a częściowo i z wyrobnikami dworskimi, którzy, jeśli nie byli ich przeciwnikami, to przynajmniej byli obojętni na sprawy społeczno-polityczne. Oczywiście, że zdarzały się sarkania na zły rząd, lecz najczęściej dopatrywano się w swej biedzie i poniżeniu przeznaczenia losu, kary boskiej itp. O socjalizmie nikt nie myślał i na listę socjalistyczną mało kto w czasie wyborów głosował.

Przyszłoby jednak czas i na Będkowie, choć w parę lat później. Zaczęło się jednocześnie z ogólnym „kryzysem” Polski. Rozdrabnianie średnie gospodarstwa wypychały coraz to więcej zubożającą ludność do dworów po prace, której już zaczęło brakować. A jeśli ktoś otrzymał robotę, to kosztom wydalenia jeszcze biedniejszego lub słabszego. Poszukiwano pracy dalej w miastach, ale już bezskutecznie. Biedacy przerażali się, dla średniaków było to ostrzeżenie dla lepszego „umilowania ziemi”. Dzieci swe żeniły i wydawali tylko „na ziemię”. Bezrobotna biedota też szukała „zachyliłsk”. I znów: „zyniłbym się z kozą, żeby morgi miała”. Wznieśli się do kłószek pól, wyprowadzali chlewiki na mieszkanki, lub kłócili poza wsią leplanki.

Wiadomo, że z tej biedoty gospodarze mieli korzyść i na niej właśnie w czasie pracy „odbiłali se” straty, będące wynikiem kryzysu gospodarczego. Poprzednie wynagrodzenie za dzienną pracę spadło z 2 zł 50 gr do 1 zł i niżej.

W takiej sytuacji zaczęło się przeklinanie życia i zazdrość z jednej strony, a pogarda z drugiej. Wzajemna nienawiść potęgowała się z dnia na dzień. Na takim dopiero gruncie słowa paru owych lewicowców biedaków znajdowały posuch u biedoty, której mocno przeciwstawiła się kilka bogaczy i klerikalów.

III

NA DROGACH I MANOWCACH

Jak widać na przykładzie Będkowie, fali nowych prądów społecznych nie uda się nieczym powstrzymać, najwyżej można ją opóźnić. Uwarunkowana przez dwory wies doszła wreszcie do zrozumienia swej sytuacji.

W tym miejscu niejedną z czytelników chciałby zapytać: „Co to za wies?... Skąd takie w niej zapóźnienie polityczne?... Przecież już od przeszło trzydziestu lat rozwijał się w Polsce ruch ludowy... byli przecież uświadomieni przywódcy ludu... Czy żaden z nich nie dotarł do tej okolicy?...”

Albo takie pytanie świadczyłoby tylko o braku znajomości stosunków wiejskich. Wiadomo, że trafiał się po wsiach uświadomieni politycy, że głosy ich docierały nawet do najbardziej odciętych od świata wsi. Tylko co to było za politycy? Jaka była ich działalność? I wreszcie jaki odnosił skutek? Bo gdzieś do roku 1930 w zasięgu dwu gmin (Suloszowa i Cielonowice, wsi 32) nie było uświadomionego naprawdę i lewicowego polityka. Owszem, był w Ojcowie Stanisław Grzybowski, a do Jerzmanowice przejeżdżał często członkowie KPP, bracia Stanisław i Benedykt Chocholcy, którzy z Jerzmanowice dochodzili, a w Zagłębiu pracowali.

Ale ich działalność rozpoczęła się dopiero po roku 1930, a więc wtedy, gdy już grunt pod pracę rewolucyjną był nieco przygotowany. Przedtem, a także i potem zaglądali do różnych wsi inni politycy. Np. poseł z „ósemki”, a późniejszy wicepremier Józef Ostachowski z Suloszowej. Był on niby chłopem, ale jakim i po której sędzi stronie? Jego rodowód: był synem bogacza i wnukiem księdza Jagodzkiego, ongiś proboszcza w Jerzmanowicach.

W sąsiedniej wsi Łazy, bogaty Mirek przeszkolił aż trzech synów na „działaczy społecznych”. Jeden był instruktorem Pow. Tow. Kółek Rolniczych w Olkuzie, dwaj — instruktorami Kół Młodzieżowych „Siew”. A więc sanacyjne służby. Takich polityków czy opiekunów wsi można by więcej naliczyć.

Dopiero po roku 1930 zaczęli działać: koło Jerzmanowice — bracia Chocholcy, koło Ojcowy — Grzybowski, a wokół Będkowie — Ludwik Strychalski z Kobylan, pow. krakowskiego, też członek KPP. Strychalski i Chocholcy siedzieli już przed tym w więzieniu za polityczną działalność. Tacy ludzie mogli dopiero w biedniejsze masy wsi wściepać (choć dość ogólnie i skrycie) lewicowe przekonania. Tym bardziej znajdowali posuch, że ucieszenie i maltretowanie biedniejszych mas dochodziło do szczytu. Świadomość życia i jego celów najdobitniej dociera przez doświadczenie, czyli zdobywa się je przez tzw. „próbę ognia”. A przez tę „próbę” po 1930 każdy biedniejszy chłop przeszedł. Ta „próba” były rządowe upomnienia za podatki, oddzielnie za każdy rodzaj. Kosztowały po 1 zł 50 gr. I gdy np. ktoś miał trzy morgi w trzech kawałkach, otrzymywał dziewięć upomnień na sumę 13 zł 50 gr. Po upomnieniach przychodził sekwestrator i doliczał znów drugie 13 zł 50 gr., a ogłoszenie licytacji też tyle kosztowało. Bywały częste wypadki, że koszty egzekucyjne przekraczały dziesięciokrotnie sumę podatku!

A upomnienia sypały się jak „z rogu obfitości”, biedniejsi bowiem, a często nawet i średniacy, nie mając zarobku, ledwie „pyski obzywili” i na konną robotę w polu u bogaczy zapracowali. Dla takich zagadnienie kupienia na zimę lichej buciut było naprawdę nie do rozwiązania. Nie płaćli więc, pocieszając się, że im „sekwestrator dzieci tymczasem nie zabierze, a później wybuchnie wojna czy rewolucja, bo przecież tak dalej być nie może”. Mylili się nieszczerze, bo sekwestratorzy dawali sobie radę: zabierali zboże, ostatnią krowę, kozę, poduszkę, ścieczkarnię i inne przedmioty.

Ściąganie podatków przy pomocy pałki i bagnetu — to dopiero jeden z wielu przykładów ucisku biedaków! Gdyby sobie zadał trud wy-

liczenia ich na podstawie własnych obserwacji i doznań, sam bym się dziś tym zatrowzył.

W takiej sytuacji życiowej rewolucyjna propaganda znajdowała posuch i budziła bunt przeciwko panującemu porządkowi — przeciwko rządowi, magnatom, fabrykantom, miejskiej burżuazji, klerowi, i wiejskim bogaczom. Ci oczywiście nie pozostawali dłużni. Rząd wymyślał i stosował wszelkie środki unicestwienia lewicowych prądów, księża zabawiali się w „tajnych detektywów” i grmili z ambon, a bogacze i klerowały chętnie szli na usługi rządu i księży.

Zainteresowanie sprawami społeczno-politycznymi i antagonizmem między bogaczami a biedakami siłą rzeczy wpływały znaczenie na czytelnictwo gazet. Czytelnicy „Małego Dziennika” i „Rycerza Niepokalanej” sięgali coraz częściej po endeckie pismo „Wielkopolski”, czytelnicy „Naprzodu” i „Robotnika” po „Chłopską Prawdę”, „Złoty Wiek”, nawet „Wolnomyśliciela”.

Bogacze wiejscy i ich klienci to środowisko, w którym głośowały wpływy endecji i kleru. Biedota wiejska, poddana w dużej mierze wpływom lewicowego podziemia, zrozumiała oblicze sanacyjnego reżimu i jedyne swe zbawienie upatrywała w przewrocie społecznym.

Jedni ufali lewicowej prasie, ostrzegającej przed niebezpieczeństwem hitleryzmu i faszyzmu, inni tumanili się niebezpieczeństwem ze strony Rosji. To zaślepienie nie ominęło bodajże żadnego ożonowa. Bo już w roku 1939 „bohater” pokonywania biedoty przy ściąganiu podatków, komendant policji z Ojcowy, Kwiecień, krzyczał głośno na zebraniu Rady Gromadzkiej w Będkowie, że „skupiony naród polski w OZN musi przy pomocy innych jeszcze sił pokonać najstraszniejszego wroga ludkości — komunistyczną Rosję”. Również takie kazania wygłaszał ów plewka „najdroższych zagonów” Stanisław Odrobina w Jerzmanowicach. A 10-go kwietnia 1939 r. na zebraniu Gminnego Komitetu (czy Zarządu) LOPP — po staroście Stamirowskim, przemawiał na temat przyszłej wojny. (oczywiście z Rosją), rdzenny Niemiec, Błażej Himmel z Ojcowy, prezes Gminnego Zarządu LOPP. Później w czasie okupacji niemieckiej okazał się jawnym mi prawdziwym hitlerowcem i współpracownikiem żandarmerii i Gestapo. Wtedy dopiero jego przyjaciele OZN-owcy dostrzegli w nim wroga polskości.

Jak widzimy na przykładzie dwu tylko wsi — okres dwudziestolecia międzywojennego był dla narodu polskiego wielką LEKCIĄ HISTORII. Lekcją nauki na przyszłość.

Józef Pogan

MELPO AXIOTI

A P E L

tłumaczył ROMAN KOŁONIECKI

BAZYLI ROTAS

GŁOWA TOWARZYSZA*)

Orzeł w szponach trzyma
uciętą głowę bohatera

podziwia jej dumę
zazdrości jej męstwa

jak przed bratem, przed druhem
skarży się orzeł i mówi:

Głowo! Królewskim jestem ptakiem
wzbijam się uderzeniem: skrzydeł

igram z gromem jak — orzeł
lecący ponad chmurami

— Ptaku! Jestem towarzyszem
towarzyszem kapitanem

nie mając tułowiwa walcę
nawet bez skrzydeł lecę

męstwo i dumę czerpię
u towarzyszy moich

jest ich jedynie garstka
— nie ptaków i nie zwierząt,

Oni są kwiatem ludzkości
dumą i sławą świata.

tłum. E. Martuszeński

*) Wiersz jednego z czołowych poetów walczącej Grecji, autora hymnu EAM-u.

Z KONGRESU BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ



Księża-demokraci, delegaci na Kongres Bojowników o Wolność i Demokrację.

Uważam, że wypowiedzi ludzi walczących o pokój — o sprawiedliwość dziejową, byłyby niepełne, gdyby zabrakło głosu Polaka kapłana.

Każdy z nas Polaków, ma tę świadomość, że zanim stał się katolikiem, to już urodził się jako Polak.

Jestem synem robotnika folwarcznego. Obiecywałem sobie, że gdy zostanę kapłanem to będą opo-

wiadał o krzywdach jakie się działy robotnikom folwarcznym. Patrzyłem na marnotrawstwo i patrzyłem na luksusowe polowania, widziałem, jak kilkumorgowy gospodarz był do szczytnie rujnowany za podatki, a obszarnek zalegał na dziesiątki tysięcy.

Tego wyzysku teraz nie ma. Teraz stało się zadość sprawiedliwości.

(Z przemówienia księdza Pasternaka)

JERZY LAU

MAPA SERCA

(Fragmenty poematu o gen. Świerczewskim)

Za wolność —
waszą i naszą
zostałem generałem,
— pieśnią narodów,
— sercem na mapach.
Ludy prostują już
plecy horyzontów,
z rąk do rąk
podają rewolucję
— w obronie pokoju.
Jak zamek karabinu
błyska wrogowi
twe imię:
— Walter!

Drogi towarzyszu,
pachną gałęzie jodły,
a ty liczysz słoje życia,
ciszej, prościej...
A serce tka
czterwój sztandar
na płasku
— rodzinnym,
na ten bój, ostatni
— dla nas.

To grają kaemy,
nie tokarka twoja,
nie drzewko dzieciństwa,
— to wróg gada żelazem,
upowski faszysta,
młyn kręci wrzecionem
w jarze krwawego słońca
— a ty pierwszy raz
kuli się kłaniasz.

Widzisz tokarkę,
klatkę z ptakami
i skrzydła na szybach,
fabrycznej hali,
gdzie krzyczą iskry,
drapieżne ptaki blasku
i mroź słońca błękit żelaza.
— Na fabryce Gerlacha
została tokarka
i sypie śnieg
tamtych opiółków...

Caraki czas wtedy
chodził urzędniakiem,
batogiem gnał
carskie ruble,
Czarne pluca
ludzi i maszyn,
czujne ręce
uczyły Marksa.

Lecą kule na wietrze
— nie acetylenowy śmigł,
tokarz jest cietrzewiem,
drzazga napięte mięśnie,
biegną chłopcy tyraliera,
lepkie żelazo na mrozie
sople palców są obce,
milczą boleśnie,
choć czarwonono
kapie żywica żelaza
i pachnie walką
żołnierzy Ludowej.

Dziś dzieci w szkole
znają mapę twojego serca,
że Polski broniliś w Madrycie
nad Ebro i Terruelem,
jak błysk granatu
nad Wisłą przynosił:
„Arriba parias de la tierra!”

Stońce brązowe,
na drzewach miedziane orzechy
i rzeki błękitne,
rzeki zielone
kroili jak noże
ziemię hiszpańskie
z kamieni i łez.

„Chcę pić!”
„Ostrożnie generale,
to bandaże, nie sztandar
Czerwonej Hiszpanii!”
I pomsty szukają
żołnierze w ataku.

Zamieszczamy fragment najnowszej powieści współczesnej pisarki greckiej, Melpo Axioti, pt. „Dwudziesty wiek”, która ukazuje się niebawem nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Axioti jest nie tylko pisarką; należy do Komunistycznej Partii Grecji i prowadzi na emigracji — głównie we Francji — ożywioną działalność na rzecz Czerwonej Grecji. Ostatnio brała czynny udział w paryskim Kongresie Pokoju.

„Dwudziesty wiek” — to powieść oparta na podłożu autobiograficznym; główną bohaterką jest kobieta imieniem Poliksena, rozstrzelana przez „Germano-Greków” w obozie koncentracyjnym. Ale powieść ta jest również historią greckiej partii komunistycznej poprzez wojnę i okupację, aż do epoki interwencji anglosaskiej czyli do dnia dzisiejszego (akcja powieści kończy się 1-go grudnia 1946 r.).

Rozdział ostatni książki — pt. „Apel” (tytuł pochodzi od tłumacza), to fragment dnia powszedniego grupy komunistów greckich, zamkniętych w więzieniu przez reakcyjny rząd. Przedstawiciele wszystkich warstw społecznych — od pastucha z Epiru do wybitnego pianisty, ojca Polikseny — walczą z bronią w ręku po górach, w podziemiach stolicy, za kratami więzień. Fragmenty pamiętnika gen. Makriannisa są żywym programem działania, nie tracącym aktualności w obecnej chwili dziejowej.

rk.

Niechże kto opowie coś jeszcze przed wieczornym apelem.

No to ja chłopcy, idę na pierwszy ogień. Opowiem wam coś takiego, że po prostu boli zrywać! — zawołała młoda jasnowłosa dziewczyna.

Uciszyło się zwolna; wszyscy znów się porozsiadali.

Było to po zakończeniu walk grudniowych, w moim pierwszym więzieniu. Byliśmy obawiani tużem żandarmów. „A oczy, oczy...” — zwracali się do mnie z pytaniem. — „Ilu ludziom wylupiały oczy?” — „Nie! ja nikomu oczu nie wylupiałam, ja byłam od sprzątania klozetów...” Byłam pielęgniarką okręgu Thymarakia. Cała moja robota, to były właśnie — klozety”. Czy wypada mi tak mówić? — a! mniejsza o to!... W każdym razie — do samego wieczora dali mi święty spokój; podzieliło to nas, niech tak, że się od razu uspokoił — niczym kokoszka, wrzucona do wody. Potem przyszli, powiedzieli: „No, idźże sobie do diabła!” — i zwolnili mnie.

— Brawo, Klio! Udało ci się mnie rozśmieszyć...



Partyzanci greccy przed rozstrzelaniem.

— Patrzcie go: więc wróciłeś, mój stary Zachariasz! — krzyknął nagle szewczyk. — To właśnie do mnie, do Simosa przychodzisz w odwiedziny, co? Chodź-no tu, dam ci trochę okruszyn.

— Powiedz nam, szewczyno, czy to twój syn, ten Zachariasz?

Olbrzymi bury szczur z czerwonymi ślepiami i długim, wlokącym się za nim ogonem sunął na przelaj po podłodze, ocierając się o ciała leżących więźniów.

— Chyba to już głęboka noc, kamraty! Szczur Simosa już jest, to i wszyscy cię inni powychodzą z nor — tylko patrzeć! Przypomina mi to szczury, gnieźdzące się w kosińcach; co noc zdobywały ja szturmem. Trzeba było trzymać straż, gdyż bałimy się, że zaczyna pożerać trupy. To też ja osobiście wszystkie leżące tam trupy liczyłem, żeby je wciągnąć do spisu: ofiary głodu, ofiary Oporu, ofiary Grudnia, no i ci teraz!

W tej chwili ojciec, leżący dotychczas nieruchomo, odwrócił się do Emila, który siedział obok niego: „Nie zdążyła nawet zobaczyć na własne oczy ostatnich wydarzeń: walk grudniowych... i tych najświeższych... Może i lepiej, że się tak stało. Jakby sobie wybrała moment najostrowszy...”

— Tak: są rzeczy, których nie zdążyła zobaczyć, ojciec... Zesłanych do Afryki, którzy cudem oca-

leli od śmierci w krematoriach; tłumów ludności, uciekającej — dla odmiany — właśnie z północy na południe; mężczyzn, powypłaszanych z domów i wyprawionych na wyspy; dzieci, powyciąganych z łózek i wysyłanych na plac kaźni...

— Kto z kolei obejmuje teraz wartość? — spytał Thanassis. — Porą na zmianę.

Dwóch spośród obecnych mężczyzn wstało i podeszło do drzwi, żeby zastąpić tych, którzy pełnili wachtę do tej chwili. Wzięli sobie narzucili sobie ten obowiązek sami: żeby zapobiec wszelkim niespodziankom.

Nagle rozległ się głos: „Chodź-no tu co prędzej, Thanassis! Chodźcie tu wszyscy! Michał pluje krwią!”

Wszyscy rzucili się w stronę, skąd głos dobiegał. Chwiejnym krokiem poszedł tam za innymi ojciec. Gdy chorey ujrzał go, pochylonego nad sobą, rzekł:

— Przysuń się bliżej! Jaka ona była do ciebie podobna! Po prostu ta sama twarz... Poznałem twoją córkę, towarzyszu, osiem lat temu; przyszła do mnie, przynosząc mi paczkę...

— Przestań Michał, tobie nie wolno nie mówić; bądź cicho!

— Dlaczego nie wolno? Od dwudziestu już lat ciągnie się to moje choróbko! Dziś bynajmniej nie mam jeszcze zamiaru umierać!

— To mówiąć poczył w kolo oczami po twarzach wszystkich, którzy nad nim stali.

— ...a potem, przed samym odejściem, Poliksena zapytała mnie: „Towarzyszu, czy mogę was ucałować?” — Owszem — odpowiedziałem — jeśli się tylko nie boisz...

Wtedy schyliła się i pocałowała mnie w policzek. „Popatrz, popatrz!” — myślałem sobie. — Oto młoda dziewczyna, taka świeża i piękna, przychodzi do ciebie i mówi ci: „towarzyszu!” I pomyśleć, że kiedyś było nas zaledwie mała garstka!... A teraz — już ci ją zamordowali!...

Krew zaczęła mu kapać z nosa kropla po kropli.

— Jakis ty nieposłuszny, Michał! Bądźże cicho... — rzekł Thanassis.

— A właśnie że nie będę posłuszny! — krzyknął Michał i zerwał się z podłogi, stanął wyprostowany. — I w sanatorium w Sotirii też nie byłem posłuszny! „Nie wychodź, nie wychodź!” — krzyżeli moi kumple. — Bo dostaniesz kulę w łepetyne!” Ale ja ich nie usłuchałem i wyszedłem. Anglikom nie udało się zająć budynku. My wciąż jeszcze broniliśmy się. Przyszli więc delegację z wezwaniem, żebyśmy się poddali. Moi kumple powtarzali: „Nie wychodź, bo położą

Wnet wszyscy poukładali się czym prędzej na ziemi i zastygli w bezruchu — zupełnie jak na jakimś przedstawieniu. Ale tak jak po burzy morskiej, gdy znów zwolna ustala się cisza i tylko jeszcze woda wciąż drży na głębinach — w sercach więźniów wszystko jeszcze wrzało.

Każdy z osobna, spokojnie i w milczeniu wyruszył teraz w pogoń za swoim marzeniem.

Pierwszy więzień myślał sobie: „Próbuję chwycić nas w łapy; szukają tylko sposobności, żeby nas wysłać gdzieś do obozu.

„Ilu więźniów utłuką? Wszystkich? — rozmyślał garbus. — I co potem? Przelana krew zawsze wola o pomstę! Niech ta krew spadnie na ich głowy!” Zaczął gmerać po kieszeniach, szukając papierosa. Ale nie znalazł.

„Gdyby żyli moi trzej synowie, których mi Włoszyska pomordowała, zaraz by się okazało, czy by nie wyciągnęli mnie stąd — i to mi grom! Zwłaszcza gdyby przy życiu był Dyzio... Utraciłem wszystko — nawet łaskę! I co dzieje się z moim stadem? Kto go strzeże dziś na pastwisku? A może się rozbiegło?”

Tuż obok jakaś kobieta przebiegała odruchowo palcami: „Co to takiego było, o czym pisała mi córka w swoim liście? Aha! przypominało mi się: „Tu, na tych wyspach, gdzie słońce przepalilo ziemię na wskroś, dzieci umierają na łonach matek. Jest tu takie jedno, które ma dwa łata i czym tu je żywić? gdzie je do snu ułożyć?” I pomyśleć tylko, że ona nie ma tam ze sobą choćby jakiej spódniczki!”

Ostatnim, który leżał w tym rzędzie, był więzień, chodzący stale w berecie. W tej chwili zdjął go właśnie z głowy i zaczął obracać w palcach szepcąc: „Czy aby przypadkiem nie zapomniałem tu w więzieniu o Maro? Nie, nie zapomniałem jej! Tylko, że obecnie co innego leży mi na sercu... Moja matka miała stopień kapitana i teraz ja — jej syn — noszę po niej ten beret”. Natychmiast włożył go z powrotem na głowę, ściągając trochę na lewe ucho.

Spod przeciwległej ściany Thanassis posępny spojrzaniem wodził po całej celi: „Trzeba rozłożyć opiekę przede wszystkim nad tymi, którzy się magają — myślał. — Brak im doświadczenia — są przecież wśród nich tacy, którzy dostali się za kraty po raz pierwszy. Nas jest teraz tak wielu i była nas — jak to słusznie zauważył Michał — ledwie mała garstka! Ja osobiście zaczynam się już przyzwyczajać do pobytu w więzieniu, od dwudziestu kilku lat wciąż jestem w ogniu walki. Byliśmy wszędzie, gdzie tylko toczył się bój. Jedni walczyli w Rosji, inni — w Hiszpanii, wszędzie — aż po Indie, bośmy się na jednym z zebrań zobowiązali, że staniemy tam do walki. I wszędzie wyciągały się do nas ludzkie dłonie, żeby złączyć się w uścisku z naszymi. I ci, co potoneli w czasie przeprawy przez Atlantyk i ci, co padli na ulicznych brukach i inni, co — jak orły — mają siedliska na wierzchołkach gór... I wreszcie my sami — tu w kraju, który jest dla nas więzieniem. Zaczęliśmy tę swoją walkę dwadzieścia pięć lat temu, u boku starszych towarzyszy, a dziś kończymy ją, mając u boku innych.”

Jakis dzieciak z najciemniejszego kąta celi przypiełzył do kobiety, która tego dopiero dnia tu się znalazła. Zastanawiając się ręką usta, zapytał ją po cichutku:

— Jak się nazywasz?

— Blatriso — odpowiedziała.

— Chodziłaś do szkoły?

Kobieta potrząsnęła głową — na znak, że nie chodziła.

— Ja — ciągnął dzieciak — najpierw korzystałem z wózka do zabawy. Kładłem do wózka amunicję i rozwioziłem ją walczyłem. Miałem wtedy dziewięć lat. Teraz mam piętnaście... Później otrzymałem awans i moim zadaniem — w okresie walki — było pilnować kapitana Mourat, żeby przypadkiem ktoś na niego zniechęcał nie napadł; pokrzepiałem go także na duchu. W grudniu miałem już strzelbę! Dostałem ją na własność! Pewnej nocy strasznie rozgrzała się od strzelania a nie było wody — więc nasłusiałem na nią, żeby lufa ochłodziła się trochę. Potem — kiedy oni zawarli ugodę — byłem zmuszony strzelbę oddać. Ale na bojów, to nie oddałem wrogowi ani jednego: zużyłem je wszystkie, strzelając po prostu w powietrze! Dostał samą strzelbę — i basta!

— Zgubiłeś swoich rodziców, przestałeś chodzić do szkoły... — szepotała kobieta. — I byłeś na wojnie... ty, bidny dzieciaku! — Wezwał chustki, którą miała przewiązaną oko, podrygiwał jej z tyłu na głowie.

Przez małe okienko w ścianie ktoś coś wrzucił do wnętrza celi. Nikt nie wiedział, kto to uczynił. Dzieciak rzucił się naprzód: „Towarzyszu Thanassis, gazeta!”

Thanassis spojrzął przelotnie na pierwszą stronę złożoną w czworo gazety i schował ją do kieszeni. Pochylił się do ucha sąsiada:

— Został o świcie rozstrzelany.

— Kto?

— Syn starej Roido.

Sasiad Thanassisa przekazał na ucho wiadomość następnemu więźniowi:

— Został o świcie rozstrzelany.

— Kto?

— Syn starej Roido.

— Rozstrzelany? o świcie?

— Kto?

— Jej syn?

— Syn starej Roido?

Roido rozpościła na ziemi swój worek. Szykowała się do spania. Dzień już się skończył. Tęgo wieczora nie dowie się o niczym. Powiedziała jej dopiero jutro.

— Emil! — powiedział Thanassis. Zwołuj apel: już czas. Dzisiejszego wieczora przeczytamy tylko osiem stron. A uważaj, nie podnoś nadto do głosu.

Wszyscy mieszkańcy celi szykowali się do snu. Emil wstał — ten sam Emil, który przybył ongiś z Katalonii wraz ze starą Salome i z początku zajmował się roznoszeniem koronek na sprzedaż... Podeszedł do skrzynki, znajdującej się w rogu celi i wstąpiwszy na nią z kartką w rękę, rozpoczął apel. Głos jego obijał się o więzienne mury:

„Murkowie i marynarze!

„Murarze i kanonierzy!

„Pisarze i żołnierze!

„Żony i bojownicy!

„Pastarze i gajkowaci!

Wszyscy odpowiadali:

„Obecni!”

Na zakończenie szepnął — już tylko dla samego siebie: „Poliksena, ukochana moja! ty także tu jesteś w tej chwili...” Potem otworzył jakąś książkę: było to „Pamiętniki generała Makriannisa, ciąg dalszy” (*).

Słowa obijały się o więzienne mury.

Wszyscy więźniowie, siedząc na ziemi, słuchali.

Emil zaczął:

„Ci, w których rękach spoczywają dziś nasze losy, wszyscy nasi kierownicy — od najniższego do najwyższego, ministrowie i deputowani — poczytują sobie za chwałę, że zaszczyt, nawet za obowiązek okradanie i zdradzanie ojczyzny, wyrządzając jej ciężką krzywdę. Uchodzą oni za najgodniejszych obywateli państwa — natomiast ludźmi uczciwych prześladowuje się i oddaje pod sąd niegodziwców.”

Odwrócił kartkę i czytał dalej: „Jakkolwiek — w porównaniu z Jordani i Ibrahima — jesteśmy liście słabsi, pocieszamy się tym stwierdzeniem, że przeznaczenie stałe, nas — naród grecki, utrzymuje przy życiu — mimo małej liczebności. I choć od początku do samego końca, od starożytności po czasy dzisiejsze wszystkie dzikie ludy toczą z nami wojny, żeby nas pochłonię — jakoś im się to nie udało. Zjadają nam rasy straszliwe, ale zostaje w nas zawsze zaczął odrodzenia: ta garstka ludzi, zdecydowanych na śmierć.”

Stół wyprostowany jak świeca i odwracał kartkę po kartce. Pozostali więźniowie, siedząc na ziemi, słuchali.

„Ojczyzno, wszyscy Grecy jak jeden mąż złożyli ci siebie w ofierze. Powinnaś ich uczcić! Złożyli siebie w ofierze, żeby cię wskrzesić, żeby raz jeszcze można cię było nazwać „Wolna”, choć już sądzono, że wykreślona jesteś z mapy świata. Powinnaś uczcić wszystkich tych obywateli; ale zapomniaj przede wszystkim i wysławiaj czynny tych, którzy pierwsi polegli nad Alamaną w zmaganiach z nawałą turecką, liczebnie o wiele ich przewyższającą; pamiętaj o tych bohaterach, którzy postanowili się zamknąć jak w twierdzy w karczmie w Gravii — w kruchej ceglanej budowlinie... Oni to bowiem powstrzymali wroga w pochodzie... A teraz, ojczyzno, cierpią oni prześladowania od rozmaitych „Ekscelencji” — od Twojego rządu i jego braci, Augustynów i Viarosów, którzy nie zostawiają w spokoju nawet ich żon i córek, którzy osmielają się namawiać tych sławnych bojowników, żeby żyli z żebractwa. „Po co braliście oręż do ręki?” — mówią im na dobitkę. — Czy wy nie rozumiecie, że sami sobie wyrządziliście krzywdę!”

— Ojczyzno, powinnaś także uczcić nas, swoich dzisiejszych obrońców!

Wszyscy obrócili się ku temu, kto ów okrzyk wydał: ku ojcu.

Na półkuli północnej, w kraju, który nazywa się Grecją, tej samej nocy Akropol znowu sięgnął do kronik, zapisanych na jego płytach:

„Dnia 1-go grudnia, w 1946 lat po Chrystusie, u podnóża moich marmurowych schodów...”

I coś jeszcze po tych słowach dodał. Nikt nigdy się nie dowiedział, o czym to była mowa.

Jeszcze jeden dzień minął, podobny do wszystkich innych. Żadne zmiany nie zaszły. W oddali, w mroku, jarzyły się jeszcze ogniska — jak szeroko otwarte oczy — życie toczyło się dalej. Albowiem można poornie człowieka, ale nie życie.

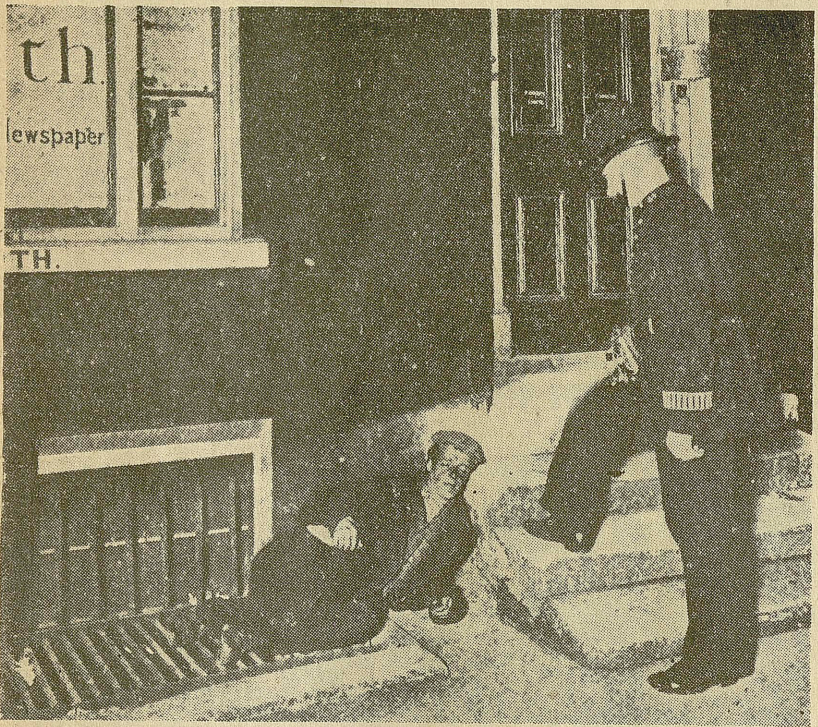
Do widzenia.

Melpo Axioti

*) Makriannis — bohater ludowy, jeden z najsławniejszych generałów w wojnie o niezależność narodową Grecji w r. 1821



Nocą parki londyńskie pełne są bezdomnych.



Policja strzeże porządku.

JERZY FALENCIAK

»DOBRA, STARA ANGLIA«

„Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem, dnia dwudziestego sierpnia, roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata“.

Gdy Jack London, energiczny i wszechstronny pisarz amerykański, postanowił zwiedzić East End — oślawioną dzielnicę nędzy londyńskiej — spotkał się z pełną niesmaką dezaprobata. „To niemożliwe“, mówili przyjaciele londyńscy. „To rzecz bez precedensu“, oświadczył zaszkolony urzędnik biura podróży Cooka, gdy ekscentryczny turysta zwrócił się do niego po bliższe informacje o celu parominitutowej wycieczki. Nawet dorożkarz zdumiał się, gdy osobiście gentleman kazał się obwozić po ulicach East Endu.

East End, to sprawa, o której się w stolicy imperium nie mówi; odległy jest o pięć minut drogi od dzielnic elegancji Londynu, ale świat głodu i bezdomności, ponury kraj „ludzi otchłani“ oddziela od świata sytych i możnych najpotężniejsza bariera — klasowego wyzysku i klasowej obłądki.

Jack London, zajmując za kulisy imperium, odstąpił podzwękę kapitalistycznej „prosperity“, nieaktownie, wbrew wszelkim zasadom angielskiej przyzwoitości, ukazał dzieje wydziedziczonych potomków „Jerłów morza“.

Warto przypomnieć dziś doświadczenia opatrzone datą 1902 r. Sytuacja londyńskich „slumsów“, zaulek skrajnej nędzy spychanego na dno „ludzi otchłani“ proletariatu, nie uległa zmianie na przestrzeni dziejów imperializmu — od wczesnej fazy jego triumfu do czasów, w których znalazł się w obliczu końca; przeciwnie — zaostriżyła się.

I dziś patrzy z jeszcze większym lękiem w przyszłość angielski świat pracy. Nadchodzący kryzys powiększy armię bezrobocia, nędzy, bezdomności.

Lato 1902 — okres odkrywczych wypraw Londona na dno „otchłani“ — to okres pomyślnej koniunktury gospodarczej imperium. A jednak London pisał o swych obserwacjach z East Endu: „Tego, co ujrzałem, nie chciałbym oglądać raz jeszcze“.

Po letnich miesiącach ekonomicznej „prosperity“ nastąpił kryzys. Zima 1902—1903 wzmożyła bezrobocie i nędzę do rozmiarów, które ustrząsnęły nawet opancerzonymi przeciwnościami „niestosownym“ widokom „przyzwyczajonym“ Brytyjczykom.

„Rzesze bezrobotnych tworzyły po prostu procesję i wlokąc się ulicami Londynu domagały się krzykiem chleba. Mr. Justin Mc Carthy — cytując London w przedmowie do swej książki — pisząc w styczniu 1903 r. do nowojorskiego „Independen-

dent“, tak po krótko ujmując sytuację: — W przytułkach zabrakło miejsca, aby pomieścić ogromne tłumy, blagające dniem i nocą u bram o pożywienie i schronienie“.

Fakty te nie są nam obce. Miały miejsce w „dobrej starej Anglii“ i za naszej pamięci: nie inaczej przedstawiała się sytuacja proletariatu w latach wielkiego kryzysu lat trzydziestych. I nie inaczej ukształtuje się ona w humanitarnym raju kapitalistycznym w ciągu najbliższych miesięcy.

Nie trzeba jednak sięgać po dokumenty lat klęski kapitalizmu. Wystarczy ukazać, jak żyje jego ponury cień — londyński East End w miesiącach „dobrych“. Już wtedy Londyn roił się od bezrobocia. Zjawisko typowe dla stosunków jeszcze nawet liberalistycznego kapitalizmu; produkcja przemysłu angielskiego, nastawiona na potrzeby własne i także eksportowe, nie wychodziła mimo to w wielkośći galeji poza działalność sezonową. Każdy więc robotnik, także londyński, musiał normalnie przetrwać coroczny staż bezrobocia w ilości od trzech do ośmiu miesięcy, nie licząc bezrobocia w wypadku krytycznych załamów koniunkturalnych w przemyśle i handlu. Charakterystyczna okresowość zatrudnienia powoduje z kolei ciągłą troskę o zabezpieczenie siebie i rodziny przed głodem i bezdomnością. Ponieważ walka o ubezpieczenia społeczne znajdowała się wtedy w stadium początkowym, i w Anglii i na kontynencie, powstawała więc konieczność, aby w chwilach popytu na ręce robotce pracowały całe rodziny, kobiety i nieletnie dzieci. W skutkach praktycznych nie przyniosło to bynajmniej zabezpieczenia rodzinie robotniczej. Co więcej, dezorganizowało ją do szczeru, poddając pod zupełną kontrolę i penetrację aparatu przemysłowego, postępującego się doskonałymi metodami oddziaływania i przeciwdziałania wobec wszelkich odruchów klasowych „mieszkańców otchłani“.

Prócz ofiar okresowego bezrobocia stałymi kandydatami na „ludzi otchłani“ byli członkowie grupy „sytych“ mieszkańców East Endu. Drobni kupcy i rzemieślnicy, nieuchronnie proletaryzowani konkurencją wielkiego kapitału z trudnym utrzymywali równowagę na krańcu nędzy. Bez szans wydobycia się z dna wegetują w East Endzie ogromne rzesze lumpenproletariatu; zżarte głodem, brudem, chorobami, pijanstwem wyrzutki „Brytyjskiej Wspólnoty“.

Sytuację tych ludzi badał Jack London, który przebrany za nędzara i upodobniony zewnątrz do wynędzniałych i obdartych mieszkańców East Endu, „zstał do piekieł“ w lecie 1902 roku.

JERZY FALENCIAK

JACK LONDON

LUDZIE OTCHŁANI

Przebrałem się w kupione łachy i wyszedłem na ulicę. Celem moim było odczucie mieszkania; przy czym starałem się przedstawić jako biedny młody człowiek z żoną i licznymi dziećmi.

Pierwsze odkrycie stwierdzało, że mieszkań do wynajęcia jest bardzo niewiele. Wędrowałem całymi kilometrami i nie mogłem znaleźć ani jednego wolnego mieszkania. Byłoby to dowód, że dzielnica jest „nasycona“.

Było jasne, że jako młody człowiek z rodziną nie mogę znaleźć mieszkania w tej najmniej pożądanej dzielnicy. Zaczęłam więc szukać pokoi nieumeblowanych, gdzie mógłbym przenieść żonę, dzieci i ruchomości. I pokoi nie było wiele, ale znalazłem jednak, co prawda pojedyncze, bo zdaje się, że jeden pokój uznawany jest tutaj za wystarczające locum dla rodziny. W jednym pokoju można tu gotować, jeść i spać. Patrzono na mnie ze zdumieniem, gdy pytałem o dwa pokoje.

Nie tylko pokój wydawał się im wystarczający dla licznej rodziny, ale i lokatorzy zajmujący pojedyncze pokoje byli jeszcze gotowi odstąpić kat jednemu lub dwu sublokatorom. Pokój kosztował od piętnastu do trzydziestu pensów tygodniowo, a kat w takim pokoju można było dostać za trzy do pięciu pensów na tydzień. Sublokator mógł nawet stołować się u swych gospodarzy za parę szylingów.

Nie tylko domy, które odwiedziłem nie miały łazienek, nie było ich w tysiącach domów całej dzielnicy. W tych warunkach mycie się całą rodziną w zatłoczonym pokoju, w miednicy, staje się przedsięwzięciem niewykonalnym. Ale Bóg jest sprawiedliwy: we wschodnim Londynie deszcz pada prawie co dzień, tak że — chcąc nie chcąc — mieszkańcy kąpią się na ulicy w strumieniach ulew.

Stan sanitarny domów, które oglądałem, był rzeczywiście straszny. Mam wrażenie, że zła kanalizacja, rynsztoki, brak wentylacji, wilgoć i tym podobne braki spowodowałyby w krótkim czasie u mojej żony i dzieci: dyfteryt, tyfus, różę, zakażenie krwi, bronchit, zapalenie płuc, gruźlicę i różne drobniejsze choroby. Niewątpliwie procent śmiertelności musi być bardzo wysoki. Ale oto znów zadziwiająca sprawiedliwość: najlepsze, co może spotkać mieszkańca East Endu, to pozbycie się rodziny. Rodzina jest ciężarem, warunki zmuszają człowieka do tego, by chciał się pozbyć rodziny. Jeśli miałoby być inaczej, to coś tu nie jest w porządku, gdzieś tkwi błąd!

Frying-pan Alley. Gromady dzieci bawiących się na oszklonych chodnikach. W drzwiach kat wąskich, że przejść można tylko bokiem, siedzi kobieta z obnażoną piersią, karmi dziecko. Idziemy ciemnym, wąskim korytarzem. Oto schody, jeszcze wyższe i jeszcze brudniejsze. Dwa piętra, każda platforma o powierzchni dwie stopy na trzy, zarzucona śmieciem i odpadkami.

Siedem pokoi jest w tej norze zwanej domem. W sześciu pokojach gotuje, je, śpi i pracuje dwadzieścia jeden osób obojga płci w różnym wieku. Wszystkie pokoje o powierzchni mniej więcej osiem na osiem do dziewięciu stóp. Wchodzimy do siódmego pokoju. Nora. Pracuje tu pięciu ludzi. Pokój ma siedem stóp na osiem, przy czym większą część powierzchni zajmuje stół, przy którym pracują mieszkańcy. Na stole — pięć kopyt szewskich i poza tym tyle tylko miejsca, by pięciu mężczyzn mogło jako tako pracować. Cały stół zarzucony tekturą, wiązkami wierzchołów, różnymi okrawkami i materiałami.

W sąsiednim pokoju mieszka kobieta z sześciorgiem dzieci. W następnym — wdowa z jednym, sześćstoletnim synem, umierającym na gruźlicę. Wdowa sprzedaje słodycze na ulicy i nie zawsze zarobi na trzy kwatery mleka potrzebne dla syna. Młoda dziewczyna nie widzi częściej jak raz na tydzień, a ludziami, którzy tego nie widzieli, trudno sobie wyobrazić gatunek tego miesza.

Gruźlica i stłodycze! Jeszcze jedna groźba dla dzieci slumsów. Pięciu ludzi ciężko pracuje w tej ciupie, jeśli praca ma być na czas wykonana. W zimie lampa musi się palić niemal cały dzień, a ludzie oddychają kopciami, unoszącym się w gęstym powietrzu. W sezonie, kiedy jest dużo roboty, można zarobić trzydziście szylingów tygodniowo!

— Ale to tylko lepsi pracownicy tyle zarabiają — tłumaczył mi jeden z nich. — Wtedy to pracuje się dwadzieścia, trzydzieście, a nawet czterdzieście godzin dziennie i to trzeba się śpieszyć. Żeby pan nas wtedy zobaczył! Pot się po prostu z nas leje.

Jasne się dla mnie stało, że owe trzydziście szylingów jest wielkością bardzo problematyczną, skoro sami robotnicy muszą opłacić czynsz i światło, oraz kupić narzędzia, szysła, gwoździe, szlifarki, tekturę itp.

— Jak długo trwa ten sezon, kiedy to możecie zarobić „aż“ trzydziście szylingów na tydzień? — zapytałem.

— Cztery miesiące — brzmiała odpowiedź. — A przez resztę roku zarabia się od dwóch i pół do pięciu szylingów tygodniowo.

Pół tygodnia już przeszło, a zarobek mego informatora wyniósł cztery szylingi! Na zakończenie miałem się dowiedzieć, że jest to jeden z bardziej opłacających się zawodów.

Spojrzałem na okno wychodzące na podwórko sąsiednich domów. Podwórko jednak nie było, a raczej były, ale zabudowane parterowymi budami i szopami, w których mieszkali ludzie. Dachy pokryte były brudem i odpadkami, nieraz na parę stóp grubości — danina mieszkańców pierwszego i drugiego piętra. Rozróżniałem w tym śmietniku ości rybne i obgryzione gnaty, gałgany, stare podarte buty, potłuczony fajans, garunki itp.

— To już ostatni rok naszej pracy — mówił mi jeden z szewców. — Sprowadzają maszyny, to już dać sobie z nami radę.

Wyszliśmy tym samym korytarzem, gdzie u wejścia kobieta karmiła piersią młode, tanie życie.

Szedłem przez Mile End Road wraz z moimi nowymi przyjaciółmi: woźnicą i stolarzem.

Woźnica z trudnością dotrzymywał nam kroku (powiedział nam, że jeszcze dziś nie jadł), ale stolarz, wychudzony, w brudnym podartym palcie, rozwiewającym się na wietrze, ciągnął szybko naprzód... Obydwaj szli ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Idąc rozmawiali, a od czasu do czasu któryś z nich szybko pochylał się i podnosił coś nie zwalniając tempa marszu. Myślałem, że zbierają niedopałki cygar lub papierosów i nie zwracałem na to uwagi. Aż nagle dostrzegłem: z brudnych, zapłutych płyt chodnika podnosili kawałki skórek pomarańczy, jabłek, gałgazy od winogron, podnosili i jedli. Trzeszczały w ich zębach pestki renklod, podnoszone z ziemi, łupane dla wydobycia jądra. Moi towarzysze zbierali okruszyny chleba nie większe od ziarna grochu, ogryzki jabłek tak brudne i czerniałe, że



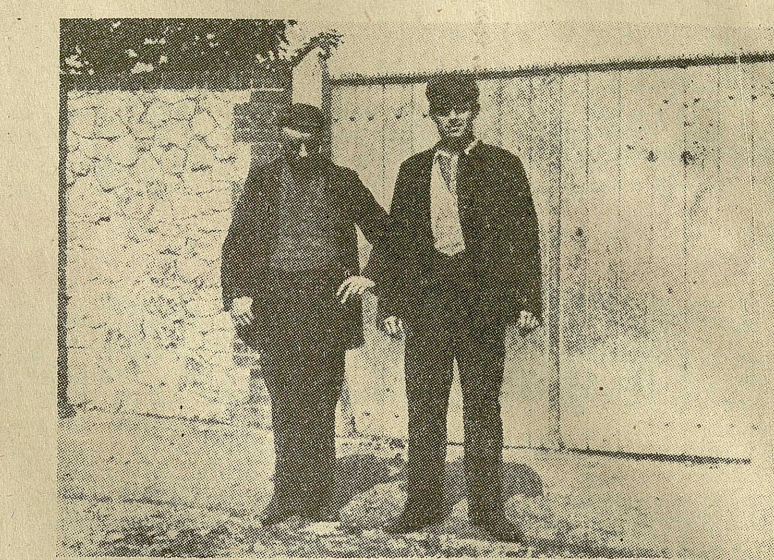
Przed przytułkiem Armii Zbawienia.

nikt by w nich nie rozpoznał resztek owoców. Zbierali, kładli do ust, żuli i połykali. Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem dnia dwudziestego sierpnia roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata.

Chłopcy tutejsi wyrastają na nieodolnych młodzieńców, pozbawionych żywotności i wytrzymałości. Słabi, nierozwinięci fizycznie przegrywają w walce z elementem napływowym ze wsi. Kolejarze, roznosiciele, kierowcy omnibusów, tragarze, to jest wszyscy ci, których praca wymaga siły i wytrzymałości, pochodzą z przeważnej części z prowincji. W policji londyńskiej służy tylko trzy tysiące londyńczyków, a dwadzieście tysięcy urodzonych poza Londynem.

Dochodzący więc do wniosku, że otchłani jest olbrzymią maszyną do zabijania ludzi. I kiedy zdarza mi się przechodzić boczną uliczką, gdzie przed drzwiami swoich zakładów siedzą syci rzemieślnicy, zdaję sobie sprawę, że więcej mam dla nich współczucia, niż dla zgubionych bez nadziei, umierających na dnie otchłani. Tamci umierają, nie ich już więcej nie czeka, ci natomiast będą musieli dopiero przejść przez wszystkie męczarnie i katusze, które, być może, rozciągną się na dwa albo i trzy pokolenia. — Rozmawiałem z kobietą, która właśnie wytrącona ze spokojnego życia na takiej ulicy, zaczęła staczać się na dno. Mąż jej był monterem. Słabym był pracownikiem, skoro nie mógł dostać stałej pracy. Nie miał dość energii i katusze, które, być może, rozciągnęły się na dwa albo i trzy pokolenia. — Rozmawiałem z kobietą, która właśnie wytrącona ze spokojnego życia na takiej ulicy, zaczęła staczać się na dno. Mąż jej był monterem. Słabym był pracownikiem, skoro nie mógł dostać stałej pracy. Nie miał dość energii i katusze, które, być może, rozciągnęły się na dwa albo i trzy pokolenia.

Małżeństwo to posiadało dwie córki i wszyscy czworo mieszkali w dwóch norach, zwanych przez grzeszników pokojami, za które płacili siedem szylingów tygodniowo. Pieca nie mieli, trzeba było gotować na jednym palenisku gazowym. Jako ubodzy nie mogli otrzymać nieograniczonej dostawy gazu; dla ich wygody zainstalowano automat. Gaz płynął dopiero po wrzuceniu pensa w otwór licznika, ale gdy ilość gazu wartości pensa została zużyta, dopływ zamykał się



Jack London w rozmowie z „mieszkańcem otchłani“.

automatycznie. „Penny pójdzie raz dwa — skarzyła się — a gotowanie jeszcze nie skończono!“.

Długoletnie niedożywienie dawało o sobie znać przez okragły miedziak, od pierwszego do ostatniego dnia, wstawali od stołu głodni. Ludzie staczający się po zboczu na samo dno, wiedzą, że niedożywienie jest największym wrogiem, który wysysa życie i przyspiesza upadek. Ciężko pracowała ta kobieta. Od czwartej trzydzieści rano aż do zmierzchu szyla spódnice z falbanami, po siedem szylingów za tuzin. Siedem szylingów za tuzin!

Starsza córka pracowała jako niewykwalifikowana pomocnica u krawcowej za półtora szylinga tygodniowo! Kiedy jednak zaczął się mroźny sezon, została zwolniona, chociaż przyjęto ją za tak śmiesznie niską płacę jako uczennicę. Potem znalazła zajęcie na trzy lata w sklepie z rowerami, gdzie otrzymywała pięć szylingów tygodniowo. Cztery kilometry miała do pracy, przy czym właściciel potrącał jej z pensji kary za spóźnienia.

Rodzice stracili grunt pod nogami, nie utrzymali się na powierz-

de Park z czterestasto- czy piętnastoletnim chłopcem, najbardziej wyniszczonym i wychudłym stworzeniem, jakie widziałem. Był chory, oczy miał głęboko zapadnięte.

— Chodź, przeleziemy przez płot — namawiałem — zaszliśmy się w krzaki i przepłynę. Gliny nas tam nie znajdą.

— Gliny nie, ale są dozorczy, złapią cię i posiedzą sześć miesięcy. Wśród bezdomnych Green Park ma dobrą opinię, jako najwcześniejszej otwierającej swoje bramy, bo już kwadrans po czwartej. Razem z innymi wszedłem do parku. Padał deszcz, ale ludzie zmęczeni nocną wędrówką walili się na ławki i natychmiast uśpiali. Wielu wyciągnęło się na mokrej trawie i nie zważając na ulewę, zasypiało snem śmiertelnie zmęczonych.

Tegoż dnia byłem jeszcze raz w Green Parku o pierwszej po południu. Na trawnikach leżały dziesiątki obdartusów. Było niedzielne popołudnie, słońce świeciło zachęcająco i tysiące dobrze ubranych londyńczyków z żonami i dziećmi krążyło po parku.

Tak, mili, zamożni ludzie, gdy odwiedzą kiedyś Londyn i zobaczą ludzi śpiących na ławkach lub na trawie, nie myślcie, proszę, że są to leniwe nieroby, które wolą spać niż pracować. Wiedzą, że w nocy spać im nie dają policjanci, a w dzień nie mają się gdzie podziać.

Szedłem wieczorem przez Commercial Street, szedłem daleko na południe, aż do doków. Szedłem i śmiałem się z gazet East Endu, które pełne obywatelskiej dumy rozgłaszają chętnie, że East End nie jest jeszcze najgorszym miejscem na świecie.

Trudno jest opowiedzieć nawet dziesiątą część tego, co widziałem. Te rzeczy nie dają się po prostu opowiedzieć. Ogólnie mówiąc: widziałem zmorę nocną, brud ożywający na bruku ulicy, płatanie niewypowiedzianej nędzy — zaczynające „okropności“ kryminalne Piccadilly i Strandu. Oto zbiorowisko odzianych w łachmany stworzeń dwunożnych, które wyglądają jak ludzie, lecz raczej są zwierzętami; a dla uzupełnienia obrazu — dozorczy z mosiężnymi guzikami, utrzymujący porządek i struflący tych, którzy narzekają zbyt głośno.

Cieszyłem się jednak, że są dozorczy, ponieważ, nie będąc dziś w przebraniu włóczęgi, mogłem łatwo stać się łupem drapieżnych stworzeń, waleśających się bez celu po ulicach. Mijając jednym a drugim dozorcą stworzenia te rzuciły na mnie ukradkowe, pożałdliwe spojrzenia drapieżników z rynsztoku, a ja bałem się ich rak, ich gołych rąk, tak jak człowiek bałby się łap goryla. Byli niscy, krepki, niekształtni. Nie mieli szerokich ramion, ani mocnych mięśni. Przedstawiali sobą raczej najpierwotniejszą oszczędność natury. Tak musieli wyglądać ludzie jaskiniowci. Ale siła była w tych wychudłych ciałach. Dżika, pierwotna siła, zdolna gryźć, szarpać i miażdżyć... Slum jest ich dżunglą i w tej dżungli żyją i polują. Stworzenia niezdolne do pracy i niepotrzebne! Nieszczęsne, pogardzane i zapomniane, ginące w walce społecznej — potomstwo prostytucji; prostytutki mężczyźni, kobiety i dzieci, ludzi z krwi i kości, iskry bólej i dumy; krótko mówiąc — potomstwo prostytucji pracy. Jeśli to jest najlepsze, czym może nas obdarzyć cywilizacja — wróćmy do nagości czasów pierwotnych. O ileż lepiej jest być ludem z puszki i pustyni, jaskiń lub szlasów, niż być ludem maszyn i otchłani.

Dlaczego wraz ze wzrostem potęgi cywilizacji w takim samym stopniu rosła nędza? Przyczyną jest też kierownictwo; wyjściem — wspólnota socjalistyczna. Motyw zysku musi zniknąć. Społeczeństwo musi poprawić los prostego człowieka; zdolne jest przeciwieństwo w stanie obecnym do produkowania w ilości, zaspakajającej potrzeby. Społeczeństwo należy zreorganizować: produkcja na użytek, a nie na zysk. Gdy zniknie z kierownictwa kapitalistyczne — zniknie z powierzchni ziemi piekło slumsów, powolnej śmierci głodowej, chorób, niedożywienia.

tłum. JERZY DZIAŁAK

*) The People of the Abyss, by Jack London. New York, Grosset and Dunlap, 1903.

E. SMIRNOWA

W 30-LECIE RADZIECKIEGO FILMU

W latach przedrewolucyjnych w Rosji gwałtownie rozwijał się przemysł kinematograficzny. Stanowił pole działalności dla spekulantów, agentów, małych i wielkich przedsiębiorców, których pociągała możliwość nieprawdopodobnych wprost zysków. Powstała niepokonalna przepaść między istotą sztuki filmowej, przeznaczoną dla milionów, a prywatną przedsiębiorczością produkującą filmy w przedrewolucyjnej Rosji. Społeczeństwo burżuazyjne, które zrodziło te sprzeczności sztuki filmowej w szerokim stopniu wykorzystywało możliwość narzucenia masom swojego obrazu myśli właśnie za pośrednictwem kina i zamieniało filmy w propagandę swoich celów o niewzruszonej ustroju kapitalistycznego. Już pierwsze filmy rosyjskie przepojone były tą mieszczańską ideologią. O tym też myślał Lenin, twierdząc, że filmy burżuazyjne deprawują masę, zawartą w nich wstrętną treścią.

W odległych od nas czasach Lenin przewidywał jednak rozwój socjalistycznej sztuki filmowej, łącząc ją z masowością filmu, z jego zbliżeniem do ludu, z problemem partyjności bolszewickiej. Poglądy Lenina na film rozwijały się w toku rewolucyjnej walki Partii i dyktowane były bezpośrednio przez warunki historyczne, przez życie.

Pamiętając o potrzebach kultury socjalistycznej Lenin niejednokrotnie zwracał uwagę na kinematografię i w praktyczny sposób pomagał młodej radzieckiej sztuce ludowej. Jako przewodniczący Sownarkomu nie zapomniał o problemach organizacyjnych przemysłu kinematograficznego, wykorzystywał wszystkie możliwości dla udzielenia materialnej pomocy tworzącej się kinematografii radzieckiej. Używał środki konieczne dla produkcji filmowej w okresie, gdy kraj walczył z głodem, chaosem i ciężkimi następstwami wojny domowej. Praktyczna pomoc udzielona przez Lenina kinematografii radzieckiej łączy się z jego wypowiedziami na temat socjalistycznej sztuki filmowej. To, co przepowiedział w 1907 roku, w toku rewolucji i wojny domowej w praktyczny sposób urzeczywistniał.

Pierwszym większym zarządzeniem w zakresie filmu był leninowski dekret o unarodowieniu przemysłu

filmowego z dnia 21 sierpnia 1919 roku. Dekret o unarodowieniu okazał się początkiem właściwej rewolucji w sztuce filmowej. Zróżnicowana, rozdartą rosyjską produkcją filmową, znajdującą się w rękach prywatnych właścicieli, stała się własnością państwa. Po usunięciu konkurencji i ordynarnego uzależnienia twórczości artystycznej od osobistych interesów kapitalistów otworzyła się dla filmu nowa epoka, w której artysta wziął czynny udział w życiu społecznym, po partyjnie uświadomił sobie swoje zobowiązania wobec ludu i rewolucji.

Urzeczywistniając rewolucyjny czyn unarodowienia kinematografii Lenin wskazał jednocześnie drogi, na których należało zrealizować zbliżenie sztuki filmowej do życia szerokiego mas, do idei, którymi żył naród.

W rozmowie z A. W. Lunaczarskim wskazywał na to, że produkcję nowych filmów, przenikniętych ideami socjalizmu i wyrażających radziecką rzeczywistość należy zacząć od kroniki. W stwierdzeniu tym zawarta jest myśl, która wyznaczyła przyszłość tak radzieckiej kroniki filmowej, jako też radzieckiej kinematografii artystycznej. Istotnie — była to najważniejsza i najwartościowsza dla młodych artystów radzieckich droga zagłębienia się w sprawy i ideologię rewolucji, droga prowadząca do uczuć i myśli szerokiego mas. Jedynie pracując wśród ludu młodzi radzieccy filmowcy mogli pojąć wielkość i wspaniałość tego, co dokonywało się w tym okresie czasu, tego co było gruntowną zagładą starego a początkiem istnienia nowego.

W latach 1920/21 z inicjatywy Lenina zorganizowane zostały pociągi i samochody, w miastach zaś ośrodki agitacyjno-instrukcyjne. Zwyłe słowo, literatura, plakaty, płyty gramofonowe i film — wszystkie te środki zostały zmobilizowane dla wyjaśnienia szerokim masom ludzi pracy znaczenia prowadzonej wojny i dla zachęcenia ich do budowania nowego życia.

Lenin podpowiadał wówczas pracownikom kroniki filmowej, jakie tematy należały filmować, dopilnowywał wypełniania jego wskazań, dbał o to, aby Komitet Filmowy zapatrzonny był w tańmę filmową i

w inne konieczne potrzebne materiały. Razem z tow. Stalinem Lenin zajmował się również zagadnieniami propagandy filmowej, troszczył się o to, by filmy radzieckie pokazywane były ludności, by docierały do najodleglejszych zakątków Rosji radzieckiej.

Dla nawiązania łączności ośrodka z prowincją, dla bezpośredniego zorganizowania pracy agitacyjno-propagandowej, dla pouczenia i kontrolowania miejscowych organów i organizacji, w końcu 1918 roku WCIC oddaje do dyspozycji tych ośrodków



Fragment krwawej demonstracji lipcowej w roku 1917 na ulicach Piotrogradu.

pociągów agitacyjnych oraz przeznaczonych do takiego samego celu floty parowców. Kierowano je przede wszystkim w okolice niedawno oswobodzone spod okupacji białogwardystów i interwencyjonistów. Szczególnie duże zasługi położyły w tej pracy pociągi i parowce agitacyjne „Imienia Lenina”, „Imienia Rewolucji Październikowej”, „Czerwony Wschód”, „Czerwony Kozak”, „Radziecki Kaukaz” i „Czerwona Gwiazda”. Wyświetlano na nich posiadane a zarazem krecono i montowano nowe filmy dla kroniki.

W ten sposób film również w o-wym czasie zajmował ważne miejsce w uświadamiających pracach partii. W rękach działaczy nowej, socjalistycznej kultury okazał się on ważnym czynnikiem propagowania idei komunistycznych, przewodnikiem partyjności bolszewickiej, częścią sprawy ogólnonarodowej, „kółkiem i śrubką” w nowej, socjalistycznej kulturze.

Już te pierwsze kroki kinematografii radzieckiej były wielkim czynem odnowienia filmu, umożliwiającym dojście do ekranu prawdziwym

się on, by razem z filmami rozrywkowymi pokazywane były również filmy naukowo-popularyzacyjne oraz dokumentarne, aby stworzony został wyraźny program filmowy, którego celem byłoby tak bawić jako też uczyć widza. Cała ta akcja uświadamiająca widziana była przez Lenina z pozycji partyjności bolszewickiej. Wiedza, dokumenty mówiące o życiu powinny być tak ujmowane — uczył Lenin — by dawały wyobrażenie o wielkim wydarzeniu historycznym, jakie zapoczątkowała Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna.

W grudniu 1921 roku Lenin zapoznał się z przedstawionym przez sekcję filmową Narkomprosu i Narkomwotorgu projektem reorganizacji spraw filmowych. Wydaje wówczas polecenie stworzenia specjalnej komisji, która powinna była opracować dyrektywę w sprawie demokratyzowania wynajmu filmu. We wskazaniach Lenina dla tej komisji czytamy między innymi, że dla każdego programu kinowego na-

leży ustalić wyraźną proporcję filmów rozrywkowych oraz filmów o treści propagandowej (np.: o kolonialnej polityce Anglii w Indiach, o głodujących w Berlinie, o pracach Ligi Narodów itd.). Lenin polecał również dawać filmy o charakterze propagandowym do przejrzenia starym literatom-marksiom, zwracał uwagę na organizację sal kinowych we wsiach i na Dalekim Wschodzie, gdzie były one nowościami i gdzie nasza propaganda szczególnie będzie cieszyła się powodzeniem.

Z inicjatywy Lenina VIII zjazd partii w 1919 roku przyjął uchwałę o propagandzie politycznej i pracy kulturalno-światowej na wsi.

„Kino, teatr — czytamy w rezolucji zjazdu — koncerty, wystawy itd. powinny docierać na wieś. Należy uczynić w tym kierunku największy wysiłek i wykorzystać je dla propagandy komunistycznej tak bezpośrednio — to jest przez ich treść — jako też przy pomocy połączenia ich z wieciami i pokazami”.

Tłum. E. M.

MARIAN PIOTR PŁATEK

POKAŹCIE NAM DROGĘ

Wież Janowice leży niedaleko starego historycznego miasteczka Wieliczki. Straszna niedza gniotła od dawną Janowian. Gospodarstwa karłowate (od 1/4 morga do 4) mało dostarczały zboża z ziemi gliniastej i rdziny. Prawie wszyscy musieli „dorabiać” w kopalniach, fabrykach, na kolei. Młodzi ludzie po ukończeniu — w najlepszym razie — 4 klas szkoły powszechnej, szli w świat, poszukując pracy, której nie znajdowali. Wracali zatem do „ojców” na obciążone ludźmi gospodarstwo.

Tak w nędzy pańszczyźnianej, potem sanacyjnej i w ciemnocie żyła i pracowała wieś Janowice.

Stan ten zmienił się radykalnie w momencie powstania Polski Ludowej.

jest znajomość nowej literatury, która w naszej wsi jest jeszcze nie bardzo znana. Zaledwie kilka osób zna dzieła Kruczkowskiego, L. Rudnickiego i Pogana. Sytuacja ta musi ulec zmianie na lepsze. W bibliotekach gromadzących napewno się te dzieła znajdują, lecz oświatowcy nie umieją ich „zanieść czytelnikowi”, aby ei umieli poznać ich piękno.

Lecz kryje się między Janowianami wiele ludzi, którzy rozpowszechniają wśród młodych lekturę wstępną. Zajmuje się nią tylko młodzież chłopów-bogaczy, chodząca „luzem”. Zaś książki o dużej wartości tj. książki postępowych współczesnych pisarzy odsuwa ta młodzież na drugi plan.

Książki współczesnych pisarzy



W roku 1947 kierownictwo publicznej szkoły w Janowicach zorganizowało kurs 7-mio klasowy dla wszystkich. Zgłosiło się kilkunastu młodych ludzi chętnych do nauki. Od nich to wyszła propaganda społeczeństwa na wsi.

„Biblioteka czynna w środy i piątki”. Taki napis widnieje na drzwiach szafy szkolnej, w której mieści się biblioteka gromadzka.

Z tej biblioteki korzystają najczęściej ludzie starsi, a szczególnie niezaawansowani jeszcze w czytaniu. Dzieje się to w ten sposób, że ktoś ze starszych czyta dobrą książkę i zdobyłymi ciekawostkami dzieli się przy piwie ze swoim kumem. Ten zadowolony zapisuje się do biblioteki i żąda książki, o której słyszał. Po przeczytaniu tejże sięga po następną, pytając przy tym bibliotekarkę: „która będzie ciekawa”. Naprzykład taką serię czytelników (jak się dowiaduję od nich samych) przesła książka „O księdzu Piotrze Ściegiennym”. Książka ta w jednym miesiącu była ponad 15 razy czytana. Przeglądałem spis czytanych książek biblioteki Koła ZMP, która liczy obecnie 70 tomów, dostępnych nie tylko członkom Koła. Okazało się, że w ostatnich miesiącach najpopularniejsze były książki z dziedziny gospodarstwa, jak np. „Sadownictwo”, „Społeczeństwo pszczoł”, „Chów bydła”, „Chów świń” i inne.

Drugie miejsce w poczytności zajęły książki pierwszej serii KUK-u, a wśród nich „Nędznicy” Wiktora Hugo i „W rozstokach” Wł. Orkana.

Decydującą rolę w rozpowszechnianiu książek na wsi odgrywa szczególnie uczniowie szkół średnich (biorąc pod uwagę ludzi starszych) oraz bibliotekarzy. Ci drudzy zasadniczo powinni mieć w sobie dobrą książkę dla początkującego czytelnika, aby go zachęcić do dalszego czytania, lecz nie zniechęcić. Winni oni przejść odpowiednie kursy, by w krótkich słowach informacyjnych bardzo jasno i zrozumiale umieli przedstawić treść i wartość dobrej książki czytelnikowi. Do lepszego poznania przemian społecznych na wsi potrzebna nam

najczęściej traktują o zagadnieniach walki klas, oraz przemianach społecznych. Człowiek — bogacz wiejski, nienawidzący postępu, nie weźmie takiej książki do czytania, gdyż byłoby to sprzeczne z jego ideologią. On czyta literaturę szlachecko-klerykalną. Przeciwnie zaś postępują w tym wypadku biedacy wiejscy. Czytają literaturę, która bezpośrednio omawia ich dawne położenie, aby dociec głębiej i poznać to, co ich gniebiło, bo tylko wtedy, znając swą dolę, można otwarcie i srogo wydać walkę temu co trzymał lud w nędzy, zacofaniu i ciemnocie.

Na wsi przede wszystkim młodzież zetempowała ma do spełnienia jedno z głównych a bardzo trudnych, lecz zaszczytnych zadań, tj. zachęcanie mieszkańców wsi do czytania. Lecz często zdarzają się jeszcze tacy członkowie, którzy nie tylko nie zachęcają innych do czytania, ale sami nie nie czytają.

Wiekoszko jednak zetempowców wiejskich uczących się w szkołach średnich należy wypelnić swe obowiązki. Przeważnie pod ich przewodnictwem prowadzone są wszelkie prace kulturalne na wsi.

Bardzo często są zamieszane różne moje notatki w tygodniku ZMP. „Nowa Wieś”. Wiadomość o tym momentalnie rozchodzi się po wsi i już wszyscy ciekawi co napisalem, kupują „Nową Wieś” i czytają. Czyż nie podobnie dzieje się z czytaniem książek? Niewątpliwie, tak!

Wiesz, znając autora, z ciekawością bada „co on tam napisał”. Jakżeż to miło czytać książkę autora, którego się ośobiście widziało. Trzeba to wykorzystać, trzeba na szerszą skalę zorganizować wyjazdy literatów w teren. Niech każda wieś odwiedzi powieściopisarz, poeta, krytyk literacki.

Pragniemy oświaty, więc Wy nam pokażcie do niej drogę. My w terenie przygotowujemy Wam problemy ludowe warte opisu — Wy zaś powinniście je na miejscu poznać. Wtedy i książka i jej recenzja będzie dla nas jasna i zrozumiała, bo będzie ludowa.

Marian Piotr Płatek

ANDRZEJ BRAUN

PRZECIWIW OBSZARNICZEJ LEGENDZIE

Mikołaj Ostrowski należy do najbardziej popularnych autorów radzieckich. Jest to popularność zarówno autora, jak i bohatera. Po stać fikcyjna stworzona przez pisarza jest jednocześnie kopią samego twórcy. Najwspanialszy i najlepiej ukazany pozytywny bohater w piśmiennictwie radzieckim, Paweł Korczagin „Jak hartowała się



Mikołaj Ostrowski.

stał”, to właśnie sam autor. Opo-
wiesć o jego losach i pracy nad so-
bą — to historia życia Mikołaja O-
strowskiego. Korczagin, to młody
komsomoł, biorący aktywny u-
dział w Rewolucji Październikowej
i wojnie domowej, organizujący
następnie w małym miasteczku
prowincjonalnym komsomol. Kor-
czagin walczy z bandami kontrre-
wolucji, w okropnych warunkach
mrozu i głodu buduje kolej, obej-
muje wszystkie posterunki, na
które posyła go partia. W wieku
dwudziestu kilku lat, na skutek
ciężkich warunków pracy i walki,
odnawia mu się dawna kontuzja
odniesiona w czasie wojny. W krótkim
okresie czasu traci władzę w
nogach i ślepnie. Nie mogąc w tej
sytuacji pracować organizacyjnie,
postanawia w inny sposób stać się
pożytecznym społeczeństwu. Ogromną si-
łą woli pokonuje trudności, zdoby-
wa wykształcenie i umiejętności pi-
sarskie, zaczyna pisać. Tak powstała
najgłośniejsza powieść wychowaw-
cza. Obraz niewiedomego, przy-
kutego do łóżka pisarza, to symbol
tych tendencji wychowawczych,
które wydobywają z natury ludzkiej
pierwsiatki znane nam skądinąd
z „Opowieści o prawdziwym
człowieku” Borysa Polewoja, opar-
tej również na przeżyciach rzeczy-
wistej postaci. Bohaterstwo to po-
lega na opanowaniu samym sobą,
aby działać pozytywnie nawet wte-
dy, gdy warunki zewnętrzne i naj-
straszniejsze kalectwo uniemożli-

wiają wszelkie działania. Ale O-
strowski nie poprzestaje na tej jed-
nej powieści. Pracując ślepy, spa-
ralizowany, z chorym sercem, pe-
kającą od nieznosnego bólu głowę,
pisał do ostatniej chwili swą drugą
książkę, której już nie zdążył
skończyć. Umarł w grudniu 1936
roku. Druga powieść tego tytana
woli to „Zrodzeni z burzy”. Jest
ona dla polskiego czytelnika szcze-
gólnie interesująca, choć nie repre-
zentuje koncepcji na miarę „Kak
zakalialiś stal”. Założenia „Zrodzo-
nych z burzy” są całkiem odmienne.
Powieść obrazuje okres prze-
łomowy na Wołyniu, gdy w mo-
mentie zakończenia pierwszej woj-
ny światowej z jednej strony —
obszarniczej polskiej i legionistów
(P. O. W.) usiłują po załamaniu się
armii niemieckiej przejąć władzę
nad tymi terenami w swoje ręce, a
z drugiej — proletariatu tamtejszy,
bez różnicy narodowości, zaktiwi-
zowany rewolucją październikową,
organizuje walkę o wolność społe-
czną i władzę rad. Mamy więc tu
odmalowany ów „bojowy okres pi-
sudczyzny” ze stanowiska lewicy.
Czytelnik polski zna te sprawy z
wielu powieści polskich owego o-
kresu. I nigdzie chyba, jak wogóle
zresztą w sprawach tzw. byłych
„kresów wschodnich”, nie został
tak zasugerowany jednostronny,
kłamliwym i klasowo najczynie-
niej wykoślawionym obrazem, jak
w burżuazyjnych relacjach o „po-
stawianiu państwa polskiego”. O
ile wypadki historyczne zostały
niewiele zrewidowane, legionowa
legenda zachwiana, o tyle obraz be-
letyrystyczny 1918 roku na kresach,
przez przeciętnego czytelnika —
widziany jest oczyma obszarniczym,
wzmagających ze swych majątków na
Ukrainie (Maria Dunin Kozicka
„Burza od wschodu”, Zofia Kossak
Szczucka „Pożoga”), albo oczyma
tak licznych kombatanów czy
„zdobywców” legionowych, czy
wreszcie nawet dwójkarzy i szpie-
gów (Sergiusz Piasecki). Dlatego
ukazanie tych czasów z krainową
przeciętnego stanowiska daje dużą
atrakcyjność powieści Ostrowskie-
go. Jest to pierwsza książka, u-
kazująca nie z nacjonalistycznym
obszarniczym stanowiskiem, jak bu-
dowano zryby odrodzonego pań-
stwa polskiego na kresach, wśród
społeczeństwa narodowo obcego a
społecznie uciśnianego. Jest to po-
wieść o stosunkach polskich. Stąd
jej waga dla czytelnika polskiego,
większa może aniżeli dla obywatela
ZSRR. I co ciekawsze, dla tegoż
przeciętnego czytelnika, wychowa-
nego na „historii powstawania Rze-
czypospolitej”, lansowanej w szko-
łach dwudziestolecia, przy pierw-

szym czytaniu powieści Ostrowskie-
go wyda się z pewnością „antypol-
ska” (nawiasem dodam, że wśród
pisarzy polskich jedynie Wanda
Wasilewska uchylała nieco zastony
kryjącej stosunki kresowe). Ale
też „antypolskie” było stanowisko
tamtejszego ludu w roku 1918. Kim
przede wszystkim są ci „Polacy”?

Ostrowski — i na tym polega
wartość powieści — przeprowadza
konsekwentnie rozwarstwienie kla-
sowe społeczeństwa, które opisuje.
Robi to precyzyjnie i bez wyjątków,
tak, że chwilami zdaje się, że
ukazanie tej ściśle posegregowanej
panoramy wielonarodowego społe-
czeństwa jest głównym celem pisa-
rza. Obok rodzin obszarniczych
mamy proletariatu polski, służbę
dworską, przemysłowców i kapita-
listów. Wszędzie są antagonizujące
klasy: obok nędzy proletariatu
żydowskiego mamy kapitalistę A-
bramachera. Obok atamana Petlury
mamy internacjonalistyczny prole-
tariat ukraiński, oficerów niemieckich
— szlachciców, mamy zrewolu-
cjonizowanych „zarazonych” bol-
szewizmem i zrażonych do wojny
imperialistycznej żołnierzy nie-
mieckich.

Obok precyzyjnego rozszczępie-
nia klasowego ukazuje Ostrowski
różnicę między związkami i sojuszami
w obronie wspólnych interesów. Ce-
lem objęcia władzy w terenie kon-
federacji są obszarnicy z szlacheckich
rodzin z nuworzyszkami i fa-
brykantami, z przemysłowcami i
kapitalistami żydowskimi, z jezui-
tami i kościołami, a nawet z wojs-
kiem niemieckim, dotychczasowym
okupantem, później nawet z
białogwardyjiskim Petlurą — U-
kraińcem. Sojusz ten skierowany
jest przeciw rewolucyjnemu prole-
tariatowi i chłopstwu, przeciw dzia-
łającej już Partii Komunistycznej.
Autor pokazuje, że przedzielił na-
rodowe są fikcją, przedzielił klaso-
we — rzeczywistością. W obozie
rewolucjonistów mamy obok tak
pięknych postaci Polaków jak Ra-
jewski, także Ukraińców, Żydów
— robotników z miasta, lokai z
dworów i chłopów ze wsi, czy żoł-
nierzy dezertersów z wiezień. Po-
kazany jest internacjonalizm prole-
tariatu, ale pokazana jest także
ponadnarodowa, kosmopolityczna
pozycja obszarnictwa. Jeden Mo-
gielnicki jest oficerem niemieckim,
a drugi rosyjskim gwardzią, póź-
niej sztabowcem francuskim, wresz-
cie pułkownikiem polskim. Wczo-
rajszy wróg aliancki staje się, gdy
tego potrzeba, wymaga unijonem
przyjaciel Niemców.

To umiejętne rozwarstwienie spo-
łeczne staje się niezwykle pomoc-
ne w powieści dla uplastycznienia
i uzasadnienia wydarzeń, konflikt-

*) Mikołaj Ostrowski: Zrodzeni z burzy, PIW, 1949.

Andrzej Braun

ANTONI OLCHA

ZAMAWIAMY SATYRĘ...

Większość gazet i czasopism, prowadzących rubrykę pn. „Humor i satyra”, przedrukowuje na ogół stare dowcipy, które dobrze się wysłużyły innym czasom i innym ludziom, ale dzisiaj najeźdźcą nie mają już siły, żeby wywołać bodaj pokiśnięcie w czytelniku. Dowcip nie posiada przywileju „ponadklasowości”; przy „odgrzewaniu” go trzeba pamiętać o tej żelaznej zasadzie.

Tu i ówdzie można spotkać podszminkowane anegdotki — starszaki, które można porównać do dzieł wędzarskich, udających fruwającego podłotko. Znany tygodnik humorystyczny — satyryczny wyciska często w czytelnika lzy współczucia dla zespołu redakcyjnego, zmuszonego watawać numerami całymi kolumnami korektorskich i autorskich błędów, potknięć wyłowionych przez pilnych tropicieli takowych. Dodajmy, że komentarze, jakimi często bywają opatrzone owe wycinki, budzą poważniejsze zastrzeżenia. Na przykład: wykpiwając śmieszny podpis pod podziękowaniem dla lekarzy, którzy uratowali życie matki i dziecka przy porodzie, pewne pismo uderza wulgarnym dwuznacznikiem w ową matkę, która porodziła. Dowcipas niesmaczny, obraźliwy i wyrządzający krzywdę nie autorowi śmiesznego podpisu dziękczynnego ogłoszenia, lecz kobiecie.

Większe i mniejsze głupstwa, popełniane przez prasę, żywią szpalty wielu czasopism. Zdarza się, że nad tym samym błędem korektorskim pastwią się trzy i cztery pisma równocześnie. Uderza brak proporcji i zdrowego umiaru. Gorzej, że różni „kamerzyści” biorą ochoczo na widły nawet te dzieła, które potem inne poważne pisma polecają jako godne uwagi itd. (przykład: „Lipnicki świat” Goździkiewicz).

Gdy z takim rozmachem tańczy się wokół potknięć codziennej prasy, gdy na docinki z głupek nie żal dwóch szpalt w piśmie dużego formatu, lub całej kolumny mniejszego formatu, brakujące miejsca na wyczerpujące informacje o nowych książkach, na sensowne artykuły krytyczno-literackie, brakujące miejsca na ciętą, dzisiejszą, zrosniętą z życiem satyrą; brakujące miejsca na współczesny, zdrowy śmiech.

Człotowy tygodnik, poświęcony sprawom satyry i humoru, wykpił np. ostatnio czasopisma, że na wypróbkę drukują recenzje z tomików wierszy o „łach”, „bach”, „snach”, a o satyrze ani dudni! Przeczytałem satyrę i pomyślałem: autor bawił przez pięć lat na księżycu. Toć obecnie przedzie wielbił przedzie przez ucho igielne, aniżeli się poeta doczeka recenzji! W danym wypadku satyryk hańbił nie spudłował ku uciesze opieszałych krytyków poezji, chociaż śmiechu się domagał skrytykowania satyry.

Krytyka tego „rodzaju literackiego” jest oczywiście pożądana i konieczna. Mam wrażenie, że przydatą się przede wszystkim „Szpil-

kom”. Tygodnik ten, mający piękną, bojową tradycję, dziś kuleje, kwęka, szuka drogi i kluczy, ale nie daje czytelnikom tego, na co czekają. Stosunkowo najlepsze, najbardziej celne karykatury, satyry i dowcipy „Szpilek” dotyczą wydarzeń politycznych, szczególnie wydarzeń z polityki międzynarodowej. Jeśli zaś chodzi o polską

obronę dzieci, zmuszone do pasienia bydła i pracy w polu, co odbywa się oczywiście kosztem nauki.

E. Domek, Obwodowo: walka z mszycą na burakach cukrowych.

Z. Gruss, Smotarnia: zachęcić do inicjatywy społecznej w budowie szkół. H. Dziuba, Biała: wysmiewać



współczesność — to bukietek wielomiesięcznego dorobku satyryków i humorystów jest bardzo skromny. Widać, że tutaj chodzą jak po tafli lodu. „Obowiązującym” jest tu dowcip oparty na karpuszkowym nonsensie, „obowiązującym” wymyślenie postaci Młotki Berezowskiej. „Szpilki” postępują się wieloma chwytami, mogącymi zadławić wąski krąg inteligentów „starego typu”, ludzi świadomie rezygnujących z uczestnictwa w budowie nowej rzeczywistości. Ale gdzie są powszednie sprawy naszych fabryk, biur, spółdzielni, ośrodków maszynowych, szkół, świetlic, sprawy, którymi żyje człowiek w fabryce i na roli?

Mam przed sobą kilkadziesiąt listów od czytelników — chłopów i robotników z różnych stron kraju, którzy natarczywie domagają się, zamawiając dobrą, współczesną satyrę, dobry współczesny żart. Wymieniają tematy. Wynotuję niektóre.

T. Sułkowski z Osieka: wykpić karcarzy, zachęcić młodzież do czytania gazety i książki. Czytelnik ten opisuje wspaniały rozwój spółdzielni gminnej i domaga się wyśmiania ludzi, którzy przeszkadzali lub stali z boku, nie wierząc w pomysły jej rozwoju. M. Motosek z Patok: zły i dobry satys na wsi. W. Rząd z Leśniczówki pod Lublinem: niech satyryk weźmie w

tych, którzy nie chcą należeć do organizacji; także młodzież, stroniącą od sportu. Z. Głomski, Tczew: wykpić złe zorganizowany skup owoców; napisać historię kilkudziesięciu kg zmarnowanych wiśni. H. Szczepański, Wygoda: tępienie stonki ziemniaczanej i zaniedbania w tej dziedzinie; obudzenie większego zainteresowania bibliotekami gminnymi; biurokracja w urzędzie gminnym. T. Juras, Siłna: różne kłopoty spółdzielni przy skupie żywności.

Takie i inne zadania społeczne stawiają satyrze czytelnicy. Z przetożonych wyżej przykładów widać, że chcą dowcipu, wyrostu na gruncie nowej, z trudem budowanej rzeczywistości. Chłop spod Lublina, robotnik w Urszku czy we Wrocławiu, chcieliby zobaczyć w krzywym zwierciadle to, co im przeszkadza w pracy, co im utrudnia podniesienie jej wydajności; chcieliby zrzędnego, w miarę ciętego dowcipu na temat ich własnych przywar i niedociągnięć; chcieliby znaleźć w czasopiśmie także ten trudny gatunek humoru, który nie ośmiesza i nie poniża, lecz opromienia uśmiechem radości pracę, godną pochwały.

Humor i satyra, tworzone z tego, co rzeczywistość tkwi dzisiaj w życiu społeczeństwa — oto zadanie. Chcąc je wykonać — trzeba zabłądzić „pod strzechy”.

Koledzy po mieczu i kądzieli

Proces byłego generała hitlerowskiego von dem Bacha, znanego o prawcy Warszawy, obfituje w kapitalne momenty. Oto jeden z nich. Prokurator zapytuje, o czym rozmawiał von dem Bach z gen. Borem-Komorowskim po upadku powstania. Odpowiedź brzmi: „Prowadziliśmy rozmowy czysto towarzyskie. Oprócz tego rozmawialiśmy o potrzebach Bora i jego grupy oficerów, potrzebach, związanych z miejscem ich zamieszkania, jedzeniem i udogodnieniami. Bór-Komorowski postawił mi kilka pytań, między innymi i to: dlaczego pan jest inny, niż pozostali oficerowie niemieccy?... Odpowiedziałem mu, że w żyłach moich także płynie słowiańska krew, że rodowe nazwisko mojej matki brzmiało — Szymanska i wtedy wspólnie z Borem-Komorowskim ustaliliśmy, że przodkowie nasi otrzymali tytuły hrabiowskie od króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem”.

Tak sobie gwarzyli dwaj „słowiańscy” hrabiowie, których powołała wspólna rasa, krew i wspólny cel: zniszczenie Warszawy.

wym, złe wyposażonym i znacznie mniej początkowo licznym. Dlaczego? Dlatego, że amerykańscy imperialiści mieli i mają dwupłciwej wartości sojuszników.

Acheson z rozbrajającą szczerością wyjaśnia, że takiej korupcji, nadużyć, samowoli, nieudolności wodzów jak w Chinach Kuomintangowskich nie widział nigdzie. Nie pamięta także w historii takiej, jak przebieg 90.000 żołnierzy na stronę przeciwnika. A tak stało się w prowincji Hunan, gdzie blisko 100.000 armia, nowoczesnie uzbrojona przez kapitał amerykański, oddała się do dyspozycji Chin Ludowych. Acheson przyznał również, że próby wzniecenia kontrowersji za amerykańskie pieniądze nie powiodły się.

Podobnie nie udało się francuskie raporty z Indochin. Od stycznia straciły wojska, broniące interesów kolonistów, ponad 10.000 ludzi i trzymają się jeszcze tylko w kilku miastach. Żołnierze algierscy, tuniscy i marokańscy przeszli na stronę Wietnamczyków, tworząc „Wolną Brygadę Północno-Afrykańską”.

Rząd francuski, który jeszcze nie tak dawno zapowiadał „decydujące ofensywy”, „ostateczne kroki”, wezwął wietnamczyków do zachowania braterskiego pokoju.

Imperializm — jak wiadomo — pokoiu nie lubi. Często natomiast — pod pozorem jego utrzymania — kapituluje. O pokój i porozumienie, prosił przecież Kuomintang przed ostateczną klęską. Przysłał teraz kolej na kolonistów francuskich. A dalej?

kj.

Oś W — W

Po fali oburzenia na wystąpienia papieskie, przyszła w terenie, na głębokiej prowincji, na wsiach polskich fala wykpiwania Watykanu.

Logika faktów historii ostatniego 20-lecia stoi jasno i wyraźnie chłopom w głowach. I w jej świetle śmiech i drwiny wywołuje na wsi polityka Watykanu. Oto przykład tej spontanicznej satyry i pamfletu:

„W myśl watykańskiego kanonu, Zwrócić się trzeba do Waszyngtonu i złączyć się silnym węzłem

Oto czym się papież w Watykanie błądzi.

Najpierw papież Niemcom biłogławił,

Po to by Hitler narodził „wybawiciela”

Od niosącego sprawiedliwość komunizmu,

Oto były cele, papieża i faszyzmu.

A lud jęczał w niemieckiej niewoli

I zwracał oczy na wschód w ciężkie niedoli,

Skąd wreszcie doczekał wyzwolenia.

A Watykan co dał? — grobowe milczenie!

Teraz popiera amerykańskie trusty,

Którymi kierują bussines-oszusty.

My na te wszystkie papieskie kłownia

Odpowiemy rytmem pracy i zbratania!

ZDZISŁAW PIĘKOS

Odraważ, pow. Koński

Nie Krasicki ale... biskup

warmiński

U nas w Warmii, w Olsztynskim, nie było wprawdzie „cudów mniamanych”, jak w lubelskim, mieliśmy jednak do czynienia z inną próbą posiania zamętu na wsi przez hierarchię kościelną, i to również w okresie żniw.

Sprawa ta bierze swój początek — proszę was — od wiosny. Wtedy to, kiedy na polach można było już dojrzeć zapowiedź pięknych zbiorów, nie mało plebanów wraz z całą reakcją wściekało się, że u nas piękne zboża, a w Stanach Zjednoczonych susza, a na Zachodzie powódź. Kiedy nadeszła pora żniw i deszcze, utrudniające zbiory, wywołujące czujności, każące wykorzystywać każdą chwilę przejaśnienia, wymagające zbiorowej współpracy i sąsiedzkiej pomocy — dano (skąd?) hasło pielgrzymek, odpustów i misji masowych. W powiecie piotrkowskim, jak mi opowiadał, urządzono w tym czasie 3 odpusty, werbując ludzi z gmin za pośrednictwem zakonników i domagając się konnych bander.

U nas w Olsztynskim na odmianę wymyślono misję. Czy chciano nawracać Mazurów — autochtonów? Czy też chłopów — repatriantów z dawnej Polski B?

To Mazurzy żądają, aby nawrócono spaczoną politykę Watykanu, bo Watykan do dnia dzisiejszego nie uznaje powrotu Warmii i Mazurów do Polski i do dnia dzisiejszego utrzymuje tylko administratorów biskupów i administratorów parafii.

„Wiadomości Diecezjalne” w ub. roku zamieściły nekrolog po śmierci zacieklego wroga polskości, biskupa warmińskiego, Kellera, który po ucieczce z Polski organizował Masurenvolk i prowadził antypolską działalność. W tym numerze Kuria Biskupia oddała hołd „wielbnemu księdzu biskupowi”. Dla takiej Kurii, dla takiej hierarchii kościelnej również Ignacy Krasicki, wielki poeta, patriota i reformator, byłby tylko — „biskupem wieleb-

nym”. A właściwie nawet i nie tak, Krasicki nie jest dla nich wielebnym biskupem, bo był libertynem, postępowcem. Ale Keller jest „wielebnym” — a był polakożercą.

Chłopi osadnicy zza Wisły, to w większości dawna biedota. Czy misję liczyli na nierozzerwany związek nędzy z ciemnotą? Ale w tym sęk — że ci chłopi wyszli właśnie z nędzy na progu nowej Polski, która im oddała powrócone ziemie macierzy. Nowa Polska dała im warunki, w których mogą myśleć i działać.

I kiedy misję urządzano w czasie nateżonej akcji żniwnej, gdy przy pomocy misji agitowano do upadłego, by powstrzymać chłopów od pracy w dni świąteczne, chłopi pracowali, pracowali PGR-y i zebrałiśmy my wszyscy, a było co zbierać, skoro nasz plan zasiewów wiosennych przekroczył 40%.

Paweł Karcz
(Olsztynskie)

Wszystkie siły przeciw polityce magii

Jestem nauczycielem na wsi, sam chłopiejskiego pochodzenia. Jestem również S. L.-owcem. Znowu zobaczyłem po wakacjach moją dzieciarnię, przed którą dziś nie potrzebuję się wstydić, bo moje nauczanie nie kończy się, jak przed wojną, ślepym żalkiem zubożeni. Wiem, że wielu z nich pójdzie na dalsze studia, że wszyscy mają otwartą drogę do pracy i awansu wskutek naszych przemian ustrojowych. I ledwie zobaczyłem moją dzieciarnię, ciesząc się różnymi planami na ten rok, jakie przemysłam przez wakacje, gdy wtem nadchodzi, rzekłbym, mobilizacyjne wezwanie z powiatowego zarządu S. L.-u.

Kolego — piszą — piwnicnie w najkrótszym czasie, w porozumieniu z kierownikiem OK i P, zorganizować seminarijny rejon szkoleniowy i przejść do szkolenia gminnego i gromadzkiego Koła S.L.-u w zakresie oświatowo-kulturalnym.

Kolego — piszą — w związku z walką z analfabetyzmem jeszcze we wrześniu trzeba pomóc komitetowi rodzicielskiemu określić bieżące zadania.

Kolego — piszą — jest świetlica u Was? — przyłóżcie się w pracy Koła ZSCH. i ZMP do szerzenia czytelnictwa, szczególną uwagę poświęcając prasie ludowej.

Kolego — piszą — któż, jak nie Wy z sercem odnajdzie i zachęci nadających się do pracy piaszry korespondentów z życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego waszej wsi?

Jękam, — oto początek roku nauczycielski! Mało ta dzieciarnia? Ależ zaciął się wiadomości, że mało. Tę dzieciarnię nie tylko my uczymy, postępowi nauczyciele. Uczą ją bajki, banialuki, rozsiewając wśród niej beśpośrednio albo poprzez nieoświeconych ze starego pokolenia. Toż przecież reżyseruje się poza „lubelskim cudem” prowincjonalne, parafialne cudziki me tołą wypróbowaną: że w drugiej gminie Owczary był cud na rozstajnych drogach, a kiedy tam pojedziesz, dowiesz się, że nie nie było, natomiast w gminie Owczary mówi się o cudzie u nas, w Piskach. Do czego to służy? Oto dewotki różańcowe powołują się na książkę o Królowej Michejdzie, która zapowiada, że przed ostatnią wojną będzie moc cudów, będzie Chrystus dawał znać o sobie, Matka Boska i wszyscy święci, że to będzie wojna ostatnia i krzyż triumfuje. O co tu idzie? Łatwo przejrzyć, że się wmawia wojnę i wymierza jej kierunek na wschód. Ten nawrót okurnego średniowiecza, to odrodzenie magii i wróżb policzkuje nas, nauczycieli, uderza w naszą sprawę niesienia światła i postępu.

Koledzy nauczyciele, Was również wezwano na front społecznego działania, wspólnym, wielkim frontem kruszymy zabobon i demaskujemy sprężyny polityczne w próbach narzucania wsi magicznego myślenia.

Józef Wysocki
(Rzeszowskie)

W NUMERZE 27 (216) TYGODNIKA „WIEŚ” Z DNIA 11 WRZEŚNIA 1949:

Zygmunt Pióro — Warszawa ludowa; Anna Kamińska — Warszawa i kształt nowego patriotyzmu; Maria Żmigrodzka — Wieś czeka na krytykę literacką; Kazimierz Piwarski — Katastrofa wrześniowa; Bert Brecht — Trwogi reżimu; Leon Zdzierak, Maciej Rękas, B. Przybylski, Leon Wójcik, Ludwik Łakomy, Andrzej Skupień — Florek, Stanisław Kośba, Jan Działuch, Leon Pokora, Władysław Blachut, Szczepan Dłuski — Lasek, Seweryn Skulski, Adam Nowotny — Chłopi mówią o wrześniu; Lech Budrecki — Proza o wrześniu; Józef Bieniek — O nowy typ osiedla wiejskiego; Stanisław Cieślak — Ku czemu Polska szła; Maciej Koliba — Wspólny dom; Jan Czar — Bitwy o chleb sprawiedliwy; Fakty i zadania, 19 ilustracji. 8 stron.

JÓZEF OZGA-MICHAŁSKI

OPOWIEŚĆ DZIADOWSKA

Nogi mu rozsądził mróz, ręce zdarte są od pracy, z głodu jak z sytości puchł i rozum utracił. Nie wie już, którądy naprzód, albo gdzie się urościć dziś. Nie okiem a kijem patrzy, wdechem jada barszcze z mis. Lec to dzisiaj nie nie znaczy spotkałem go — Eh panowie! w mojej wsi przy Bożej Stacji, kiedy Chrystus zwiesił głowę i rzekł do mnie — „rób co chcesz, ty tam teraz lepiej wiesz”. W marnym polu — marna stacja jaworowa — plus akacja. Wiatro gwizdał w szczytach polu jak parowa lokomotywa, a tu dziada nogi bola, idzie sobie — odpoczywał! Biskupowie, konduktorzy, proboszczowie, maszyniści taka droga czeka trwoży, gdy dmie wiatro zamaszty — Wziętem Dziadomage za rekaw (znałem go od młodych lat), gdy drwa rabał jak grzmot stękał sęki łupał, jak grał z kart. I powiedział mi historię tak paradną, że u diabła dzięki niej na świecie żyje, z nieba mi na ziemię spada. Stedliśmy na starym pociąg co kotłował się na wieżce, on wyjmował z ust owoce tej historii, jako rzekłem. „— Raz przyszedłem do biskupa, biskup zwał się Grabiec, natupatem drzewa z buka, naniostem mu za piec. Wyszedł do mnie z żerdką złotą, co się zwie pastorał, uśmiechnął się i z ochotą zaprosił na obiad. On ze złotą laską a ja z toporzykiem, siedziemy przy misce, jak święci z obrazka co jedną jagodą dzielili się młodą, jedną cmiłi faję

pod zielonym gajem. Rzekł biskup do mnie po samym obiedzie — Wierzysz teraz w Boga mój bliźni sąsiedzie? — Jakże bym nie ufał i w aniołów wierzę wylatują w puchach nad kościelną wieżę. Najadłem się klusek z mości dobrodziejem i wypilem kufel wonnego oleju. Stodko się nachylił i zanucił psalm — co uam moi mili najlepszego dam? I daje mi pierścień ze szczerzego złota, który lśni jak szerszeń w słoneczną spiekotę. Zadzwonił w mej torbie, jak schwytyany błąk — zabija go paskud, gdy chwyci do rąk. A wreszcie powiada — masz niedzwiedzie futro, to dzisiaj — a resztę dolożę ci jutro. Ja wtedy wciągam siekiery stylisko i mówię — jak dajesz to dawaj dziś wszystko. I tu go przez plecy kropidłem grabowym tak biję woźnicą, gdy koń się znarowi. A on stodko do mnie uśmiechając się oddaje skromnie drugi pierścień — Wtedy ja znowu nacieram i tap cap powalam na ziemię biskupa Grabca i toję tego purpurowyżąd, a on się śmieje niezmiernie rad. — Powiada — jest tam w szafie wino

pij i bij mnie droga dziecińo, twoja praca wystuga z biskupa świętka do wiejskiego stupa. A ja toję, a ja leję aż pot ze mnie strużka płynie on wesoty, promienieje jakby w karty grał przy winie. Jest tam kompot zimny w szafie napij się mój miły drwału. Szlak mnie trafia nie pomatu, ale pijąc leję dalej. W końcu gdy nie czuję rąk, litościwy biskup wstał i wybauił mnie od młk kwarte mi dukatów dał. Te wymowna powieść ustysłałem ja tej nocy z ust Dziadmagi, który zmarł z głodu, zimna i ran. Uliutuję się prorocy, pozwólcie mi tu opowieść drogie sobie do nieba mości, bez niej byłby, jak bez kija, którym dał moc swojej prawdzie. Ona się jak kwiat rozwija choć kij rozsypał się w drzazgę.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Redakcji bezpośredni 8-12-74; oraz 8-67-80 i 8-83-75, wewn. 69 i 87. Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”.

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd. Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5. B-33560